PIELGRZYM POLSKI

pismo miesięczne

poświęcone nauce, belletrystyce i sprawom bieżącym.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Rocznik I. (Kwiecień 1899). Zeszyt 3.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

W Austryi kosztuje *Pielgrzym Polski* **na rok**: 3 złr.; **na pół roku**: 1 złr. 50 ct.; **kwartalnej** przedpłaty **nie** przyjmuje się. — **W Niemczech rocznie**: 6 marek; **półrocznie**: 3 marki. — **W Ameryce rocznie**: 1½ dolara. — W innych krajach **rocznie**: 10 franków.

Adres:

Redakcya „Pielgrzyma Polskiego" w Krakowie, ulica Basztowa L. 4.

Nakładem wydawnictwa „Pielgrzyma polskiego".

Zeszyt następny wyjdzie z końcem maja b. r. jako zeszyt podwójny.

/

SYNOD KLECHÓW.

Niema nic nowego pod słońcem, czytamy w Piśmie św. i istotnie, to co się dziś nam zdaje nowem, to było i dawnej, a dziś tylko w innej formie się powtarza.

A już skargi ludzi na biedę, to są stare jak świat. Dziś prawie każdy się skarży na swą niedolę, a czy dawniej może inaczej było? Tak samo!

Jednym było dobrze na świecie, drugim źle, bo takie już są losy ludzkości. Do tych skarżących się na swoją niedolę w dawnych czasach, należeli nietylko wieśniacy lub robotnicy miejscy, ale także i służba kościelna, która się dzieliła na różne klasy.

Byli przy kościołach dzwonnicy, kantorzy, organiści i klechy. Organiści, kantorzy i dzwonnicy tworzyli klasę niższej służby kościelnej, wyższą zaś tworzyli klechy, których zwano także „rektorami, mistrzami i seniorami“.

Z duchowieństwem byli klechy, w ciągłych zatargach, a jakie mieli pretensye do księży, to pokazuje się z pisma pod nazwą Synodus, które wyszło z druku w roku 1607. Czy istotnie taki synod klechów się odbył, napewno nie wiadomo. Autorowi „Synodu“ chodziło, jak się zdaje, nie o rzeczywisty opis tego zebrania klechów, lecz chciał barwnie przedstawić ich charakter, ich biedę i życie.

Wspomniany synod miał niby się odbyć 20 stycznia 1607 roku na Kaźmierzu pod Krakowem. Kilku zapaleńszych z klechów rozesłało przedtem do swych kolegów uniwersał po łacinie, zapraszając ich na wspólne narady.

Gdy nadszedł dzień oznaczony, mimo chłodu i śniegu, mimo bosych nóg i wydartych grzbietów, zebrało się na Kaźmierzu z półtorasta klechów, dziwacznych postaci, w których się malował stan ich, życie i nędza. Byli tam młodzi i starzy, bosi i obuci, i prawie nadzy, zgrzybiali i niedorosłe chłopięta.

Poczęli synod nabożnie od pieśni: *Veni Sancte Spiritus*, którą odśpiewawszy, dopiero się do narady mieli. Na jednego tylko uważano, że nie śpiewał.

— Czemużeś nie śpiewał frater?“ (bracie) zapytał starszy.

— Ba, albowiem mało za to plag nabrał, żebym jeszcze i tu na nie zarabiał,“ odpowiedział; bito mnie w szkole, ucząc tej pieśni; nie tknę się jej!

A gdy się wszyscy z biedaka śmiali, ktoś tam przebąknął: niech najpierwszy radzi.

— Radź waszmość, radź — wołano ze wszystkich stron.

— A dajcież mi pokój! ofuknął się im. Radźcie sobie, a ja się na wszystko zgadzam. To mówiąc, podparł się na kiju, poprawił czapki i miał się do słuchania. Wystąpił tedy najstarszy wiekiem klecha i mowę miał taką:

„Fratres carissimi! (Bracia najdrożsi) Kiedyśmy się tu dzięki Bogu, zebrali, nie traćmyż czasu. Oto naprzód niech każdy swoje, co mu boli, przełoży; potem rady koleją dawać będziemy, jako nam dalej życie prowadzić, bośmy dziś jak exules, advenae i włóczęgi. Nigdzie nam domu, ledwie się nie przyjdzie do szpitalów uciec.

Nie mamy wyznaczonego stale myta, na księży pracujem, a za nic nas nie mają. Nie wielka nam chluba, że księdza zastąpim, bo każdy zna co ksiądz a co klecha; żebym ja w ornacie siadł na ołtarzu, powie drugi: nie ksiądześ, a ksiądz i w lesie księdzem.

Księdzu każdy dzień coś przyniesie i dziesięcina i Msze i grunta trzymają a sieją, a nam i chleba kawałka nie dają, a gdy narzekamy, to się z nas naśmiewają. Ogródki nam nadane pobrali, petycye zagarniają, myta nie dają, klerykatury nie wydrzeć z ich rąk.

Chłop też nie da, bo za co ma dać? On mówi, a robię ja panu, a robię ja księdzu, a żywię ja żołnierza, a płacę ja pobór, a po jakiegoż jeszcze dyabła żywić klechę. Próżno człek chodzi z kropidłem i święconą wodą po chatach, tylko pośmiewisko zbiera. I z opłatkami w adwencie nie przyjmą, bo i o opłatek nie dbają. Chyba jaka tam białogłowa czaruje niemi, i krowom daje, żeby się bydło wiodło.

Przyjdą żniwa i petycya nasza snopkowa! Ale ba! któż ją da? księża swoją dziesięcinę tylko wybiorą. Z kwesty, czwarcizny ksiądz nie puści jako żywo, woli sam psałterz odprawić na pogrzebie, aby i to wziąść, co się nam godzi. Co już grosza mówić, gdy i sukna i płótna mizernego z pogrzebowego nie dadzą. Potem jeszcze chwalą: oj! życie zaczęto

szczęśliwe! Piskorz za piskorzem w gębę, takie życie znać na łokciach i na piętach bosych braciszkowie. Drudzy już poszli u heretyków chleba szukać, drudzy za hajdamaków na wojnę przystają, inni za kluczników przy dworach, i tym lepiej, niż nam.

Jeden z naszych od młodych lat kawęczał nad chorałem, tu w krakowskiem, służył w niezłej plebanii, pięć lata myta nie widział, zachorzał, nie miał o czem żyć i obwiesił się. Otóż pięknie dla parafii, kiedy jej się rektor obwiesił z głodu. Za żywota czynił on dobrze ludziom, jemu po śmierci nikt.

Drugi, Matyasz, mało się nie utopił z biedy, tylko dziesiątek groszy mając całego myta (zapłaty). Trzeci, Walenty, cierpiał, aż też z głodu katem został. A cóż było począć, kiedy żołądek woła chleba, a tu go niema.

A sławny ów Stefan, stary klecha, umierając, poszedł na mary bez koszuli. Tak ci to, tak, na starość i grosika nie przybierać. Kto za dwanaście groszy w rok służy, a jakże ma co zaoszczędzić, kiedy i trzewiczyska za to nie kupi.

Nieraz, Panie Boże odpuść, człek i w kościele nieraz łzami się zaleje, śpiewa i łzy połyka, a zamknąwszy kościół, idzie po wsi żebrać, bo w ogrodzie pusto, w komorze pajęczyna. Był ci zwyczaj obiad u księdza w święto, ale ten ustał, choć z nowych graduałów uczą kirye, jeść jednak nie dają. Oj! gdzież to oni głowy mieli, co fundacye robili, wszystko dali na kościół, a my jak psi tułamy się bez grosza.

O toż idzie, bracia, aby i o sobie i o dziatkach poradzić, bo dalej, dalej gorzej będzie. Co głowa, to rozum, jeden nie da rady jak wielu. Poczynajcie więc seniora wasze vota, a dalej młodzi w kolej, aż do końca".

Powstał na te słowa stary i obłysiały Adam klecha, ale ten gwarzył, jako i pierwszy, narzekając ogólnemi słowy. Za nim votował Blasiusz, też stary i zgarbiony, a na kiju podparty:

— Jestem Podgórzanin, braciszkowie, rzekł grubo, i wy Podgórzanie, a wiecie, co nam tego licha nawarzyło, oto te przeklęte mazurzyska, co się tu do naszych księży, ze swemi partesami rekomendują.

Aby ich tylko przepędzić byłoby lepiej, a niechby księża co godzina to nowina nie wymyślali. Człek się cały wiek uczył, a teraz oduczać i przeuczać musi. Namnożyło się ksiąg, chorałów, graduałów, a to nam starcom na złość tylko, bo się te księgi rzadko dwie zgodzą, a księża, aby się człek tylko pośliznął, zaraz wypędzą, byle tylko pozór. Oj! księgi te nowe a Mazury, byłoby nam dobrze bez nich.

Poczem obejrzał się i siadł na ziemi, a zaczął podrzemywać.

Obok niego Jan klecha siedział; ten powstał, rękę po gębie przesunął, krząknął i zająknął się:

— Nie wyganiać nam Mazurów, nie łajać na książki, rzekł, jednychby kochać, drugichby się nauczyć, a nie próżnować! oto moja rada. Dixi (rzekłem). I głową kiwnął.

Spiesznie chciał po nim Matyasz głos zabrać, ale się zachłysnął brzydko, i ledwie język ustatkowawszy, począł:

— Nam kantory szkodzą, rzekł, klechom teraz lada kantor przewodzi, wielkiego myta żąda od rektorów i połowy petycyi. Oni to plotki noszą, próżnują, a do pracy ich napędzić, to ci jeszcze powie: Jam nie lada rodu! patrzaj go! kantorów wypędzić, co nam po nich!

— Bo na co nam te szkółki, rzekł Laurenty, lepiej się jakiem rzemiosłem bawić, niż szkółkę trzymać. Jaka z nich korzyść? Jak nie będzie szkół, nie pouczym żaków, niedopłacą się nas księża, będziemy w cenie.

Następowała kolej na Stanisława, który w długiej bekieszy, ciepło odziany, schyliwszy się na kiju, rzekł:

— A mnie dobrze na świecie, mości bracia, i nie pójdę od kościoła nigdy, chociaż już i w księgach niewiele widzę i niewiele wydzwonię, bo mi ręce drżą. Jednak na pamięć śpiewam, chmury i grady modlitwą odpędzam. Ludzie mi radzi przy kościele, co niedziela śpiewam im Bogarodzicę, to się zrzucą na mnie, a mnie i mała czego dosyć.

— Moja rada, rzekł powoli Christophorus, nie ruszać się z miejsca. I mnie źle, i mnie nędza dokucza, kilka lat myta nie widziałem na oczy. Ale nie chce mi się na starość włóczyć, a komu z was śmierdzi szkoła, zróbcie jak ja, wyprowadźcie się ze szkoły na cmentarz. Ot moja rada.

Aż po nim czupurny jakiś klecha, krępy a tęgo odarty, ze słomą w butach a pierzem na czapce, ozwał się:

— A kiego licha mam cierpieć, pójdę do zboru luterskiego, nie zostałem księdzem, będę łatwiej mistrzem, i chleb będzie i sława; znają mnie blisko heretycy, a gdyby nie oni, dawnobym już zdechł.

Na te słowa ogromny się wrzask podniósł między klechy, wołali, społem podnosząc pięście do góry:

— Idź do dyabła, kiedy chcesz!

Precz z między nas, żebyśmy się z tobą razem nie spodlili!

Na starość za kawałek chleba piekło kupuje!

Alboż to nam lepiej jak tobie!

Precz, precz!

Nie zmięszany tem bynajmniej obdartus, poprawił się:

— Ten błogosławiony, bracia, kto ma chleba kawałek, a przeklęty, kto go niema. Muszą być błogosławieni, kiedy im dobrze. Jeszcze jałmużnę dają, czego nasi nie czynią. Oni będą zbawieni, oni lepsi.

Wszczął się na te słowa nowy krzyk i nowa wrzawa, żwawsza jeszcze między klechami.

— Aj! damy my ci, damy, tylko bełkotaj jeszcze!

Idźże precz, ani się pokazuj!

A toć niecnoto! młodzi cię słyszą i gorszą się!

Precz, precz, idź, ogryzaj kości z heretyków stołu! precz! precz!

Nie było co odpowiedzieć, Piotr minę pogardliwą zrobił, milczkiem wyszedł z koła. Długo jeszcze potem wrzawa trwała i wotowanie ustało, aż powstał Paweł i rzekł z cicha:

— Jam tu obcy, nie waszyniec, a słyszałem przysłowie: że każdy Piotr szalony, i dziś się przekonywam, że prawda. Ja nigdy wiary dla chleba nie oddam, co mi ją nanusiek z macierzą wpoili. Pierwsza to rzecz wiara, a głód do zbawienia nie wadzi.

I zamilkł. Po nim jeszcze stary Józef się odezwał:

— Chwalebne zdanie P. Pawłowe, kolej na młodych, niech pokażą, co myślą.

Zerwał się tęgi parobek w łatanym giermaku, i zaraz począł, rozpuściwszy gębę:

— Oj starzy, starzy! wszystkichby was wytopić. Dziady, brodacze, wszyscyście ladaco. Wam to rozkosz jeszcze, wam; płaszczycie się księżom ze strachu, aby was nie powypędzali; nad grobem stoicie, ni do ziemi, ni do nieba niezdatni. Bodajeście z głodu pozdychali, bo się wy z nami młodymi źle obchodzicie. Co wam Mazury wadzą, że z partesów śpiewają? Zazdrość wam tylko, zazdrość, że wy z babami ledwie Bogarodzicę odbeczeć potraficie. Ni wy do prawa, ni do kościoła, ni do Boga, ni do ludzi, ni do nieba, ni do ziemi. Niewarto wam i chleba dać na starość.

Zająkliwy Piotraszek mu przerwał:

— Czego ty na starych krzyczysz? Dobrzy i oni, dobrzy i my. Ot lepiej radźmy razem, a wyprawmy kogo do JMci księdza Biskupa z listem i przełożeniem skarg naszych, niech każe opatrzyć kościoły. U Rusi przecie Diaki przynajmniej jedzą z księżą, niechby tak i u nas.

— A dobra rada, dobra, krzyknął Bartłomiej, do Biskupa na nich! Pracy wiele, chleba mało, księgi nowe, a głód stary. A po jakiegoż licha cierpieć? Lepiej zasię u heretyków, bo

tam jedne kantyki śpiewają, a chleba po uszy. Choć ja ich nie chwalę, ale u nas praca wielka, a pożytek mały.

— Ej, wara od Biskupa, rzekł Mikołaj, bo i posły jeszcze po grzbiecie oberwą. Poradźmy sobie lepiej, oto tak, rzućmy na jaki czas te szkoły i idźmy na żołnierski chleb. Teraz pono wyprawa, potrzebni pachołkowie i piechota, niechaj sobie księża jak chcą radzą bez nas, jak obaczą się, to potem lepiej nas ufundują, a jak ludzie zobaczą pustki przy kościele, ubędzie im i dziesięciny nie od jednego. Wszystkich się obróciły oczy, gdyż wielki Albertus, ów to klecha, żołnierz, sławny wołoską wyprawą, już był gębę szeroką otworzył, i tylko jeszcze votum nie mogło się przez nią przecisnąć, aż nareszcie jakoś je wykrztusił.

— To dobra rada, zawołał, siła na nią przystanie. Byłem ci i ja na wojence, a lepiej mi z tem teraz. Niema jak żołnierski chleb. Jest i zdobycz czasem. Aby się co ochotnika zebrało, to i ja z wami.

— I ja, rzekł Szymon, wolę służyć panom bratom, niż księżom i klechom. Trudnoby człek chciał zostać księdzem bez sukni na grzbiecie i grosza w kieszeni. A mam być złym księdzem, wolę być dobrym symplakiem. Teraz to lada klecha wyjdzie na księdza.

— Ja też chcę być żołnierzem, odparł Kaspar; porucznik stacyą wyszuka, a nie, to ją sobie człek i sam wydrapie, nie tylko od chłopa, ale i od plebana, za te jego wszystkie krzywdy. Aj, jakby to zdrowo było, księdzowskiego wołu z duchownej obory zjeść!

— I ja, i ja! krzyknął Walenty, pozabieram stare książki z zakrystyi, skleję z nich kaftan, ponakładam blachą, co opadła z kopuły, i kto mnie potem przestrzeli? Kopię od chorągwi z kościoła odejmę, z starych błon naleję kul i damże im dam! Nie będę z biesiagami chodzić po wsi i prosić, wolę z dardą dziesiątek swój wodzić, wolę się zwać panem dziesiętnikiem, niż klechą, partaczem; albo i co gorszego.

Ukazała się wtem z za pleców Walentego tchórzowata fizys pana Tomasza, który przez cały czas, gdy o żołnierce prawili, głową tylko na wszystkie strony kiwał.

— At! rzekł, dobrze mi jeszcze przy kościele i lepiej i śmielej pod chorągwią u ławek, niż pod hetmańską. Uszykuję sobie dzieci wśród kościoła, nikt mnie za to nie obije, ani marszałek laską, ani hetman buławą. Nie boję się cięcia i strzału, na deszczu nie zmoknę, pod dachem się wyśpię, na wojnie drżeć nie będę. Jeśli wam idzie koniecznie o bitwę,

ręczę, że w karczmie, gdy się chłopi popiją, to tak dobrze tłuką, jak na wojnie.

— Nie pięknie to panie Tomaszu, że od nas odstępujecie, przerwał drugi, dlatego, że tam teraz u was kilka snopków. Zobaczycie no, na czem skończycie. Żyto nie urodzi, pleban się pogniewa, i ostatnie kilka groszy minie, będziesz na starość chłopom gąsięta i cielęta pasł; a może na tem lepiej wyjdziesz, bo przynajmniej na św. Marcin swoją miarkę odbierzesz. Oddaj ty dyabłu szkołę, idź z nami do wojska, a jak skoro po św. Wojciechu, powędrujem na wyprawę.

— A nie pójdę, na śmierć Matya, odpowiedział Tomasz, nie pójdę. Idź ty do licha, kędy chcesz! Wolę ja tu po wsi psy bić i kromki chleba zbierać, niż się gdzieś tam włóczyć.

— Co ja! rzekł pięknej postawy i rumianej twarzy Hieronim, nie pójdę z wami też; kłaniam się. Ja mam pilniejszą sprawę, muszę się tego roku ożenić koniecznie. Zeschłem z głodu, zeschłem; nareście jużem sposób znalazł, miałem księdzem zostać, i jestem już akolytą, ale lepiej jeno się ożenić! Wabi mnie matka i z córką bardzo. Matuchna da jej dziesięć grzywien, obiecała pościel, suknie, dwie krowy, a reszty tom i zapomniał, wszak ci musi tam coś być dodatku. Oj, tam to, tam, życie u pani matki! jak dadzą jeść, to jak na Wielkanoc święcić, taki dostatek! Daj no Boże za to się wypłacić. Dałem ci już stary żupan mojej dziewce na przyodziewek, a ona mi kołnierzyk z podartą koronką i chustkę ku temu obiecała. Oj będęż żył, będę żył jak prałat.

Nikt nic na to nie odrzekł, bo niektórzy się śmiali, inni gwarzyli. Szła kolej na Serafina, który w krótkich słowach zamknął mowę:

— Ja sobie kupię zagon jaki. Żonę mam prawda złą, ale ją też biję.

— Ja pójdę choć do szewca służyć, odezwał się następny.

Wesoły i rubaszny Marcin nastąpił:

— Czego wam u licha źle, że się wszyscy skarżycie? zawołał, pytajcie się mnie, com zawsze wesół i śpiewam, czy i mnie też złota dola na świecie. A jednak śpiewam i nie zasępię się, bo mi moja Kachna dodaje dobrej myśli. Bodaj to zalecanki, to wesołe życie; na co mi to wasze nabożeństwo! Dobre ono dla starych; ja póki żyję, będę się tylko zalecał.

Ale wtem poskoczył ku niemu sowizdrzał i począł go hamować.

— Aj Marcinie! co gadasz? Alboż to ty nie widzisz, że umrzeć potrzeba, śmierć za pasem, a ty o zbawieniu nie myślisz?

— Daj mi pokój ze swoją śmiercią, rzekł Marcin, bo cię naprawdę ożogiem chlapnę.

— A jeżeli tak, róbże sobie co chcesz, a mnie dość na tem, żem cię przestrzegł.

Przybliżył się Andrzej zniecierpliwiony.

— Ja widzę, rzekł, że tu z wami sprawy dojść nie można; bajecie plotki, każdy się tylko na swoją biedę skarży. A już ledwie na rok grzywnę wysłużę, jeszcze z tego muszę i kantora wychować. Ha! a cóż robić? tak Bóg dał, trzeba pokutować do czasu. Ja wam radzę: siedźcie spokojnie, i nie odchodźcie kościołów; Pan Bóg się też kiedyś nad nami zmiłuje. Można się i z księdzem zgodzić, kto zechce, i posłużyć mu czasem lepiej, niźli się panu najmować z cepem. Radźmy bracia, jak się poprawić w żywocie, a Bóg o nas pomyśli, bo są między nami łotry, kuglarze, pijanice, i za nich nas Pan Bóg karze. A chcecie, żeby wam lepiej było, postanówmy kary na złych, i obwarujmy, żeby się poprawili.

Oburzyło to i jakby ukłuło sąsiada Franciszka, który wziął mowę Andrzeja za przymówkę do siebie i odpowiedział mrugając:

— Ale czy to nam kogo sądzić i hamować i poprawiać. Sam Pan Bóg na świat nie dla sprawiedliwych przyszedł, ale dla największych łotrów, i między nimi wisiał na krzyżu i z nimi żył, a jednak ich tak bardzo nie karał. Na co to o tem myśleć, chyba nas chcecie Jezuitami porobić.

Ale drudzy przypadli, i zaczęli mu mowę przerywać.

— Co ty bajesz? znać po tobie niecnotę.

— Łotrem się być nie godzi, zwłaszcza nam sługom Bożym przy kościele, trzeba dać dobry przykład.

— Alboż nie wiesz, jak Pan Bóg łotrów chłostał biczem w kościele. Trzebaby i ciebie powrozem zacząć nawracać, jak widać.

— No, no, a zatem koniec, krzyknął Chrystophorus; powiedzieliście co chcieli, i wszystko dobrze.

Lecz starszyzna zebrała się jeszcze na ostateczną radę.

— Słyszeliśmy, — rzekł Valentinus, — wszystkie wasze skargi. Prawda to, że ucisk, ale dla tego kościołów opuszczać niepotrzeba. Siedźcie tylko cicho, nie czyńcie ekscesów, nie uczęszczajcie do karczem, nie kłóćcie się z księżmi. To potrzeba uchwalić i wydrukować. Niema tylko czem drukarza opłacić.

— Damy mu, przerwał drugi, każdy po kiełbasie na kolendę, a będzie ich miał parę fas i będzie mu dość.

A zatem siedli starsi, i takie ustawy dla klechów spisali:

Ustawy walnego synodu klechów podgórskich:

1. Uchwalony pobór na potrzebę pospolitą od klechów po groszu, a od kantora po pół grosza.

2. Zakazujemy klechom uczyć dzieci gramatyki i śpiewu, żeby nie były mędrsze od nas i na starość nas ze szkół nie wycisnęli.

3. Aby żaden klecha za klerykaturę nie służył.

4. Aby żaden nie służył za dwanaście i za pietnaście groszy myta, tylko najmniej po kopie za kwartał, oprócz legumin.

5. Z heretyki aby się żaden nie ważył dysputować o wiarę.

6. Aby żaden nie porzucał księdza, pókiby kucharce księżej nie wyrządził złości, bo choć im dany godny urząd, ale na nieszczęście nasze.

7. Aby klecha albo kantor nie bywał w karczmie na biesiadzie, dla zgorszenia ludu prostego, a ile razy by był, tyle groszy winy da do skarbu.

8. Z orężem żelaznym aby nikt nie chodził, tylko z laską, a z kijcem za pasem.

9. Po huzarsku, po kozacku, albo w kurcie, aby nikt nie chodził, pod karą, żeby w krakowskiej zamkowej bularni między dziady jednę noc przeleżał, stanie to mu za kurtę.

10. Ktoby u koszuli miał wyszywany pstro kołnierz (oprócz koronków), ma za karę siedzieć u św. Gertrudy na wale w kunie dzień jeden.

11. Ktoby pił albo tańcował we wstępną środę, gdy mu będzie dowiedziono, ma za karę obejść pięćdziesiąt kościołów krakowskich, nasypawszy tatarki w trzewiki, pod bose nogi.

12. Któren gra w karty, odjąć mu pół myta, i dać do kościoła na księgi, a on niech się wygraną kontentuje.

13. Któryby Cisioianus nie umiał, Tertrini, Alleluja, Dorsa eorum, nie ma być klechą.

14. Ktoby w graduale podpisał text inny pod nuty, grosz do karbony da.

15. Ktoby antyfony, albo śpiewy chorałowe do swego kościoła przepisywał z innego, da groszy pietnaście do karbony.

16. Ktoby żebrał mąki do kościoła, da grosz winy.

17. Aby się żaden nie ważył czarownikom dawać z kościoła wosku, strzępków, wody chrzcielnej, mchu z dachu, kości trupich, rdzy ze dzwonów, oprócz wody święconej, kropidła i ziela bylicy, bo tamtych rzeczy używają na złe, na na zepsucie dobytku, na pokłócenie małżeństw, osypywanie

dziewek i młodzieńców. Także stuły do opasywania się brzemiennym nie godzi się dawać, ani w chrzcielnicy przeglądać się od żółtaczki.

18. Klechy umarłego brata powinni pochować bez pieniędzy.

19. W grzechu śmiertelnym niechaj się nikt nie odważy wchodzić do kościoła, a publiczny grzesznik niech publicznie pokutuje.

20. Ktoby się nie spowiadał o Wielkiejnocy, ma być wyłączony z między nas, wyjąwszy ważne przyczyny.

21. Czas odstawania i przystawania ma być wedle umowy, najlepiej na wielkanocną niedzielę po nieszporze. A którzyby się godzili o św. Michale, mają śpiewać Mszą tam, gdzie przystają.

22. Co się tycze petycyi, do tej ksiądz żadnego nie ma prawa, bo to nasza jałmużna, krom zapłaty należna.

23. Aby nikt nie odstawał bez świadectwa, ani bez niego bywał przyjętym.

WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

(Ciąg dalszy).

Pośród ogólnego uciskania włościan w 17-tem stuleciu wyróżnił się chlubnie, kiedy cały ciężar srogości przygniatał chłopa, szlachcic sandomierski Jan Lipiński. Okazał on bowiem przynajmniej uczucie ludzkości i zapisał na wsi Janowice podówczas dosyć znaczną kwotę 15 tysięcy złotych. których odsetki miały służyć ubogim komornikom, chałupnikom i zagrodnikom powiatu sandomierskiego na zapłacenie podatków.

Piękny to był zaiste czyn miłości bliźniego; szkoda tylko, że w gronie szlachty nie znalazł naśladowców.

Aby pojąć ten ucisk chłopów — całą ich niedolę, które ich często z rodzinnej ziemi wyganiały szukać w obcych stronach, za granicą, wytchnienia i swobody, wypada nam zliczyć wszystkie obowiązki, jakie swawola i chciwość zysku wyciskały z chłopa, kiedy on jęczał już w ostatniej toni.

Robocizną — w różnych stronach wraz z zacięgami lub szarwarkami, byli włościanie powszechnie przeciążeni.

Za łan (ślad) t. j. kawał ziemi, którą można było obrobić parą wołów, musiał włościanin pracować dworowi najmniej 3 dni w tydzień ręcznie i jeden dzień sprzężajnie. Taki chłop zwał się półślednikiem, t. j., że miał połowę roli czyli pół śladu. Posiadający cały ślad zwał się zwyczajnie chałupnikiem i odrabiał jeszcze raz większy zaciąg. Posiadający 2 ślady, otrzymał nazwę kmiecia, który dawniej oznaczał włościan — właścicieli swoich gruntów.

Atoli ten podział włościan zaciężnych był najzwyczajniejszy tylko w Wielkopolsce; inne okolice miały inne nazwania i inne robocizny.

Na zaciągu zwyczajnym nigdy chłop nie kończył, ale miał oprócz tego mnóstwo powinności oprócz zaciężnych, tak zwanych „darmoch — tłuk — próżnic — gwałtów".

Był we wielu miejscowościach obyczaj, a raczej we wszystkich większych gminach, że na posługę do kuchni dworskiej — jakby w wojsku na ordynans — musieli gospodarze wysyłać codziennie dwie dziewki i jednego parobka.

Narąbanie drzewa, naniesienie wody, opatrzenie bydła, dopilnowanie drobiu w pańskiem podwórzu — to wszystko było ciężarem gminy. Czyszczenie kominów dworskich, pranie bielizny, pielenie chwastów w ogrodach i t. p. czynności liczyły się do robocizn we dworze obok zaciężnych.

Nie pozostawiono włościanom pokoju nawet w święta, gdy byli w nie zobowiązani roznosić listy, zwozić z miasta mięsiwo i t. d. Zwało się to drogami niedzielnemi i pieszemi, lub sprzężajnemi.

Zasianie lnu, jego opielenie, moczenie, suszenie, tarcie, czesanie, należały także do powinności włościan. Najszkodliwszem było to dla włościanina, że jego żona dostawała len do domu, z którego czasem tylko przędzę, a czasem nawet już zrobione i bielone płótno, powinna była oddawać dworowi.

Tym sposobem nie mając czasu do domowych zatrudnień musiała swoje własne dzieci zaniedbywać, patrzeć obojętnie na dziury w odzieży własnej i mężowskiej, a ostatecznie do tego nieładu przywyknąć i popaść w nałóg niechlujstwa.

Włościanin, pozbawiony własności, siedział w chałupie pańskiej, na pańskiej roli, miał pańskiego konia, wołu, krowę, a nawet stół, stołek, miskę i łyżkę. To wszystko było nie jego; więc też ze wszystkiem obchodził się jak nie ze swojem — niedbale.

Dlatego się mu dom walił na głowę, rola przerastała chwastem. Konie w zimie były tylko skieletami, bydło musiano dźwigać.

Z takiej gospodarki wynikała nędza i dla wieśniaka: dzieci marły mu ze zimna, wilgoci w chatach, tudzież ze złego, niedostatecznego pokarmu. Na przedżniwku głód trapił czasem całe okolice; wieśniacy zaczęli jadać jarmuż z lebiody, młodych pokrzyw — puchnęli z tego i umierali...

Jużci — gdzie pan sam rządził wsią i był zamożny, tam już dla własnego interesu zapomagał włościan ze swego spichrza i utrzymywał przy życiu. Atoli w dobrach, w których siedzieli źli zastawnicy, dzierżawcy, podstarościowie, albo gdy właściciel jednej wioski źle się rządził, zboże wcześniej wysprzedał, tam chłopi padali marnie z głodu.

Stawały na zaciągach — powiada pewien pisarz — kości, obciągnięte tylko skórą, a za nimi włodarz z kijem w ręku i ekonom z batogiem.

Tak uciemiężony niewolnik — rozumie się — nie pracował z ochotą na swego ciemiężyciela. Jego bydlę ledwo samo łaziło: jakże mogło co uciągnąć? Stąd też praca zaciężna była tylko marnowaniem czasu.

Chłop, pogrążony w ucisku, nie widząc sposobu, aby nawet przez pracowitość, przez gromadzenie zysku i dorobek mógł pozyskać jaką wolność, nie dbał już prawie o nic. A że tęgie napoje wprawiają umysł człowieka w pewne swobodne, uciesżne uniesienie, więc i włościanin zapragnął być chociaż na chwilę uczestnikiem przynajmniej urojonego uszczęśliwienia.

Pił więc chciwie gorzałkę — upijał się jak najczęściej i przepijał wszystko. Tę zaś gorzałkę sprzedawał mu żyd w karczmie, sam uciemiężony, a przez to spodlony w swym charakterze. Toż dla grosza był gotów zgubić — choćby całą ludzkość. Pobudzał on jeszcze chłopa do większego opilstwa, oszukiwał, potem zdzierał z jego żony chustkę, brał dzieciom piernat — umierającemu z pod głowy poduszkę wyrywał, aby za pobraną gorzałkę mieć zapłatę.

Gdzie w długim szeregu lat utrzymywały się stany: szlachecki, miejski i włościański, tam zawsze stan wyższy od niższego brał zasiłek w ludziach; mieszczanie stawali się szlachtą, chłopi mieszczanami.

Ponieważ w Polsce każdy z mieszczan, który się zasłużył krajowi, lub dorobił majątku, zostawał szlachcicem, a chłop jako niewolnik, nie mógł się wykierować na mieszczanina, przeto miasta brały rzemieślników, kupców i wogóle cały za-

siłek z zagranicy, lub zaludniały się tylko samymi żydami — stąd istniało bardzo mało miast — prawdziwie czysto polskich.

Owa murowana Polska za Kazimierza Wielkiego, kiedy to chłop jeszcze doznawał opieki prawa, stała za królów elekcyjnych (wybieranych), gdy chłopa uciemiężano, jako skielet niegdyś świetnego kraju.

Pomiędzy borami rozciągały się pola, na nich chatki, zbudowane z mniejszą starannością, aniżeli ją w tem u bobrów napotykamy, bez dachów, bez dróg bezpiecznych, z połamanymi płotami i ludźmi biednymi.

Te wioski przegradzały miasteczka, różniące się od wsi tylko tem, że miały większą liczbę rozwalających się chat, że brudniejsze od chłopów uwijały się po nich żydy. A tego wszystkiego była jedna główna przyczyna: ucisk pracowitych włościan — tej najliczniejszej i najpożyteczniejszej klasy ludzi w narodzie!

* * *

Nie zwalajmy przecież winy na naszych przodków bezwarunkowo! Odczuwali oni dobrze ucisk ludu włościańskiego i byli cnotliwi i sprawiedliwi — pojedynczo: tylko nie umieli poruczyć władzy najcnotliwszym.

Władza przynosiła i zapewniała zyski i darli się do niej chciwi. Wreszcie ta niewola stanu włościańskiego dostała się do nas razem z oświatą z zachodu, a trwała tylko dlatego u nas dłużej, ponieważ się później, niż gdzieindzieej rozpoczęła.

U Mazurów (na Mazowszu) przechował się najdłużej i najwydatniej pierwotny układ Polanów — najoporniejszy wobec zachodnich wpływów i przemian. Temu wstrętowi przyjmowania natchnień z zewnątrz zawdzięczają Mazurowie nazwanie „ślepych“.

Nowego światła poniekąd widzieć nie chcieli. Dziejopis Górnicki nie bez głębokiej przyczyny nazwał ich mądrymi.

Najdawniejsza ustawa, dotycząca włościan zapadła w roku 1377, a ostatnia roku 1540. Są pomniki z r. 1297, rzucające światło niespodziewane na położenie kmieci. Ustawa pisana zachowała z małemi może zmianami starożytne polskie urządzenia.

Prawo, zdaje się, nie przypuszczało żadnej pomiędzy mieszkańcami stanowczej różnicy z wyjątkiem swobód politycznych, niepewnych znaków wyższości, ciemnych zarysów stanów. Była dla wszystkich równość przed prawem i jeden sąd, jedne obo-

wiązki. Możnaby wnioskować, że nawet żydom nie odmówiono równości.

Ustawa z r. 1426 zakazała więzić kogokolwiek przekonanego o mniejsze, lub cięższe winy. Kogokolwiek! Miano więc słuszny wzgląd na włościan, którzy skazani wyrokiem, nie mieli płacić wyższej kary nad 40 groszy.

Bolesław, książe ziem mazowieckich zniósł pewne kary pieniężne, które odtąd i na włościan wkładane być nie miały, zniół zdzierstwa, popełnione przez poborców przy składaniu czynszów należących się księciu. Oswobodzenie, opiekę główmie włościan miał na uwadze. Opłaty, znane pod nazwą „pytne“ i „jednane“ zniknęły roku 1421 i 1482, a zniknęły również i dla kmieci, nawet po wydanym pozwie, jeżeli się strony pojednały, sąd żadnych opłat nie mógł wymagać. Pomiędzy szlachcicem a mieszczaninem żadnej nie czyniono różnicy, nawet w r. 1482. Kmieć i ten, którego najniewłaściwiej nazywano „panem“, zawierali umowy jako osoby niepodległe, niezależne.

Ogólnie, wszelki stosunek, jaki zachodził pomiędzy panem a włościaninem, wynikał z prawa umowy, albo z tego, co uprawniał obyczaj ziemi, który zobowiązywał jako prawo pisane.

Poczęto się jużci wyłamywać z tej równości, która obrażała rodziny zamożniejsze. Szlachta uboga — „chodaczkowa“ stała często niżej kmieci, utracała szlachectwo, nie posiadała żadnej własności, znosząc przykre nazwania „obłomków“ — „hołoty“ — „golizny“.

Ustawa z r. 1482 nakazywała każdemu pozwanemu stawienie się przed sądem. Szlachta nie chciała być pozywaną przez kmieci, jednak równość przed prawem jeszcze przeważała. Kmieć np. u pana dług zaciągnął, jeżeli na czas nie oddał, jeśli prawnie i sądownie przekonany nie zapłacił, albo nie dał rękojmi zaspokojenia wierzyciela, mógł być uwięzionym i wydanym powodowi.

Takie „zawieszenie“ osobistej wolności czekało każdego, a nawet i szlachcica. Z tej wierzycielowi przyznanej władzy powstały nadużycia — w końcu zupełnie utrata osobistej wolności.

Jeśli zadłużony włościanin umknął, miał być wszędzie chwytany i na grunt zwracany: dopókiby zobowiązań nie dopełnił. Ten to niewinny początek sprowadził w następstwie przytwierdzenie włościan do gleby, własność.

Ustawa z r. 1472 chciała, iżby kmieć nad 4 kopy nie zaciągał pożyczki. Wierzyciel dający więcej, utracał wszystko.

Za dawniejszych czasów, w pierwszych wiekach istnienia Polski, wzajemność, odpowiedzialność prawna jednoczyła wszystkich mieszkańców włości. Ustawa wiślicka zachowała wspomnienie tej wspólności.

Na Mazowszu (w r. 1408) jeżeli kmieć podatku książęcego na św. Marcina nie uiścił, musiała za niego odpowiadać włość — gmina. Pan, wójt, albo i sama włość grabili mienie kmiecia, a jeśli go nie posiadał, przytrzymywali go i przedstawiali poborcy.

Wypada oddać sprawiedliwość szlachcie, która — rozszerzając swobody, nie zapominała i o kmieciach, odejmując im stopniowo przykrzejsze ciężary.

Cały podatek stały, obowiązujący kmiecia wynosił 2 grosze za łan oprócz podatków, jakie sejm wszystkim mieszkańcom, a więc szlachcie i kmieciom nakazał.

W stuleciu 15-tem wyłączeń stanowić nie śmiano; przeważała jeszcze równość, chociaż nadpsuta. Szlachcic — pan, nad kmieciem nie miał żadnej władzy, nie wykonywał żadnej zwierzchności. Jeden nad drugim nie panował. Ograniczenie — zaprzeczenie swobody włościanom było wznowieniem, nierównie późniejszem.

Prawo najtroskliwiej broniło osobistej wolności kmieci, dawało może daleko posunięte rękojmie. Jeżeli kmieć nie dopełnił zobowiązań, jeśli popełnił czyn zbrodniczy i umknął za granice Księstwa, nie miał być poszukiwany, chwytany i na grunt, który opuścił, zwracany.

Mógł on przecie, gdy chciał, powrócić, ale naówczas musiał dopełnić swych zobowiązań, wynikających z umowy, albo z prawa ziemi. Jeśli kmieć tych zobowiązań dopełnił, wychodził, gdzie chciał, wynosił swoje mienie. Pod żadnym względem nie ulegał panu osobiście, majątkowo był bezwarunkowo niepodległy, nie potrzebował żadnej rękojmi.

Prawo powstrzymywało nadużycia urzędów, orzekając: „jeśliby jakikolwiek urzędnik mieszkańca jakiegokolwiek stanu, a zatem i włościanina pod pozorem przestępstwa uwięził, taki urzędnik winien zapisać swoje posiadłości jako rękojmię; dopóki sąd sprawy nie rozpoznał. Jeśli nie dowiódł winy, wynagradzał.

Słuszna to opiekuńcza zasada, której nie zna prawodawstwo europejskie 19-go stulecia! W ustawach są niezbite dowody, że na początku 15-go wieku u tych mądrych Mazurów, pan, szlachcic — a dawniej zapewne naczelnik gminy, nie miał żadnej nad kmieciem władzy.

Skoro kmieć był wołany przed sąd ziemski, byłoby niedorzeczne przypuszczenie, żeby nie miał prawa pozywania drugich — pana włości. Mazowsze nie stanowiło wyjątku; i wolno wnioskować, że swobody kmieci mazowieckich posiadali kmiecie całej Polski, przynajmniej we wcześniejszych wiekach.

Z postępem czasu włościanie utracali społeczne znaczenie, a szlachta zaczynała budować opłakane przywłaszczenie, stanowiła prawa samowolnie bez kmieci i przeciw nim. Obieralny naczelnik, urzędnik pierwotnej słowiańskiej gminy, został jej naczelnikiem niejako samowładnym — nieodpowiedzialnym.

Nastąpiło wahanie się ustaw, ziemskich zwyczajów — przyjaznych prawnej niepodległości włościan, z uznanemi, wybranemi. Taki stan wątpliwy okazuje nam ustawa z r. 1540.

Czasami pozywał sam kmieć; a pan, nazwany obrońcą (wyręczycielem — pośrednikiem)*) nie rozwijał wpływu i działania. Czasami kmiecie pana i obrońcę sami pozywali: o rany, o mord, o gajowe. Czasami sam pan jako obrońca, jako wyobraziciel kmiecia pozywał, szczególniej jeżeli skarga dotyczyła czci, a obżałowanym był szlachcic. Po r. 1540 samemu kmieciowi o pewne przedmioty szlachcica pozywać wzbraniano. Pozywał pan jako obrońca, wyobraziciel.

Co do kary: za tenże sam czyn w r. 1540 wprowadzono odróżnianie, chociaż kmiecia zupełnie poniżyć nie śmiano. Niewolę — nieznacznie, poniekąd zdradziecko wprowadzono.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PALEC BOŻY.

OPOWIADANIE Z WOJEN NAPOLEOŃSKICH.

Było to, ile sobie przypominam, na kilka marszów przed bitwą pod Sommo-Sierra. Korpus marszałka Victor, do którego należeliśmy, a gdzie i cesarz się znajdował, ciągnął z Burgos ku Madrytowi. Nieprzyjaciel spędzony ze wszystkich ważniejszych stanowisk, nigdzie nam prawie nie ukazywał pola; małe tylko gromady złożone po większej części z kontrabandzistów wieszały się nad wojskiem w trudniejszych przeprawach, niepokoiły oddziały wysłane za furażowaniem, lub napadały na maroderów.

*) Po łacinie: defensor, intercessor.

Owóż tak, nie doznając wielkiej od nieprzyjaciela przeszkody, zajęliśmy miasto Lermę; część armii rozłożyła się pod murami — bo w Hiszpanii, trzeba wiedzieć, nie gnieżdżą się ludzie tak jak u nas, gdzie się komu podoba; ale otaczają się murem, zamykają bramami, jakby ustawicznie obawiali się złodziei. Naszemu pułkowi przypadło stać w mieście, na placu pięknie wysadzonym drzewami, który to plac zowią po tamtejszemu: Alamada, czyli miejsce przechadzki.

Rozmunsztukowawszy konie, napoiwszy i nakarmiwszy, jaki taki poszedł oglądać się po mieście. Zdziwiła nas nieco posępna ponurość ulic: okienice pozamykane, drzwi do domów zabite, jakby już sto lat się nie otwierały; żywego ducha z porządniejszych mieszkańców nie widać, tylko hołota z kawałkiem płachty na plecach, którą się obrzuca jak najparadniejszym płaszczem, a z pod dziurawego kapelusza ciska wzrok jaszczurczy.

Wszakże niedługo przekonaliśmy się, że to była tylko udana cisza, pod którą knuła się szkaradna zdrada. Piechota bowiem zająwszy przed nami inną część miasta, rozbiegła się tu i owdzie, a zwyczajem piechurskim wścibiając nos w każdy zakątek, a najbardziej w piwnice, gdzie mogły być składy wina, poczęstowaną została przez zaczajonych Hiszpanów sztyletami, a nawet, jak mówiono, że z poza muru i kilka strzałów wypadło; stąd ogromny zrobił się skweres, i my, kiedyśmy w kupie poszli zwiedzać miasteczko, trafiliśmy na sam najgorszy upał, gdyż żołnierstwo rozjuszone mszcząc się śmierci towarzyszy, rzucało się na domy: wybijając drzwi i okna, rabując sklepy i nie przepuszczając żadnemu Hiszpanowi, jeśli się gdzie na oczy nawinął.

Postrzegłszy nadbiegających kilku starszych oficerów, rozumieliśmy, że porządek przywrócą, bo szli z dobytemi szpadami: ale się pokazało, że i oni pałali zemstą i zamiast wstrzymywać, jeszcze pobudzali żołnierza; jeden nawet, com na własne uszy słyszał, wrzeszczał na całe gardło: że sam cesarz pozwolił rabować przez całą godzinę na ukaranie buntowniczych mieszkańców.

Na takie słowa cała zgraja huknęła: Niech żyje cesarz! Śmierć Hiszpanom! i jeszcze wścieklej rzuciła się burząc wszystko, co tylko stawiło opór. Żołnierze nasi usłyszawszy o takim rozkazie dziennym, zawyli jak stado wilków; pierwsza to bowiem trafiła się im gratka! dotąd o takiem szczęściu żołnierskiem słyszeli tylko z podań, schwycić zaś kurę lub gęś na maruderce, było to bardzo pospolite szczęście, niemogące iść w porównanie z urzędowym rabunkiem. Jaki taki, co jeszcze w domu zachwycił słuchem o wielkich bogactwach w Hiszpanii, marzył, że jeśli

go kula nie sprzątnie gdzie za Pireneami, wróci z jedną i drugą bryłą srebra i złota; byli bowiem tacy, co żegnając się z kochankami, solennie im obiecywali upominek nie mniejszej wartości. Możecie więc sobie wyobrazić, jak ślinka szła naszym Mazurom, gdy tu i owdzie postrzegli Francuza wynoszącego jaki strzęp bogate ze złupionego sklepu; ledwiem miał czas obejrzeć się, już żadnego nie było koło mnie.

Zostawszy sam jeden, wolnym krokiem przebiegałem ulicę przedstawiającą widok wielkiego spustoszenia, zrazu pocieszałem się tą żołnierska myślą, że w wojnie inaczej być nie może, że każda zaczepka odpłaca się odwetem, że sztyletowanie pokątne hańbi naród, choćby najbardziej pobudzony do zemsty; — ale kiedym poszedł dalej i ujrzał wśród stosu połamanych sprzętów, porozrzucanej pościeli, leżącego na wznak trupa mężczyzny z rozpłataną głową, a na nim kobietę zamordowaną z małym chłopczykiem — mimowolnie stanąłem, zimny dreszcz mię przeszył całego... skrzyżowawszy ręce na piersiach, jakbym się bał, by je nie rozsadziła myśl rozpaczna, cofnąłem się pamięcią w dawne lata — w strony ojczyste; kiedym takie same drobne chłopię, siedział pod strychem naszego dworku na Pradze [1]), a matka moja niespokojna o ojca, który bił się na szańcach, wybiegła dowiedzieć się, czy żyje? Kilka godzin mijało, a nie było jej widać — tymczasem na ulicach rozlegały się strzały, dzikie wrzaski, szczęk broni... Pamiętając na zakaz, bym się z miejsca nie ruszał, nie śmiałem nawet wyjrzeć dymnikiem — aż w końcu, kiedym się znudził długiem czekaniem, kiedy mi głód dokuczył, domyślałem się, że matka, pewnie na dole zajęta gospodarstwem, zapomniała o mnie; spuszczam się więc po schodkach: ani żywej duszy; sprzęty powynoszone i pogruchotane, powybijane szyby: Matko! wołam — Matko!... nikt się nie odzywa. Wybiegam na ganek: na niebie świeciła krwawa łuna, myślałem, że to dzień wschodzący i chciałem biedz dalej, gdy wtem... ach, jeszcze mrowie mię przechodzi, choć to lat tyle minęło, gdy wtem spostrzegam na schodkach dwa ciała leżące, zaglądam: to był mój ojciec, tak samo jak trup Hiszpana z przerąbaną czaszką; to była matka moja, jak owa Hiszpanka, przeszyta bagnetem w plecy, chciała zapewne zasłonić męża...

Tutaj opowiadający uciął na chwilę i otarł rękawem dwie duże łzy, które jak groch spłynęły po twarzy i zatrzymały się na dużych wąsach.

---

[1]) Przedmieście Warszawy. Mowa tu o rzezi dokonanej na mieszkańcach Pragi przez moskiewskiego generała Suworowa w r. 1794.

— Przeszłość moja — mówił dalej — odbiła się jak w źwierciadle w tym widoku trzech trupów... gorzko westchnąłem nad ich nieszczęściem i pomyślałem, czyniąc zwrot ku sobie: że dusze rodziców zamordowanych na Pradze, cieszą się może w raju, gdzie ich zaprowadziła śmierć męczeńska, widokiem syna, którego Opatrzność ochrania na tym padole, aby się modlił za nich... Kiedy tu, biedne dziecię! padło pod tem samem pchnięciem co matka!

Zemsta u Hiszpana przekazuje się jak najdroższa spuścizna; a tu, nawet i mściciel nie został. Przez podobieństwo nieszczęścia serce żołnierskie wzruszyło się we mnie, choć to nie była chwila szlachetnych wzruszeń: przypomniałem sobie, że w dniu zaciągnięcia się w szeregi, poszedłem był do kościoła pomodlić się i prosić Boga, aby mi w tym nowym zawodzie dopomógł, ślubując w duchu nigdy bezbronnego nie skrzywdzić, ale owszem zastawić go własną osobą, gdyby był napastowanym. Teraz, choć w nieprzyjacielskim narodzie, zdarzała mi się sposobność wywiązać się z ślubu; dobyłem szabli, postanawiając z narażeniem życia bronić od gwałtów. Ktoś mógłby ten krok nazwać dziwactwem, ale młode serce nie rozumuje; uczucie jest u niego przekonaniem. Biegłem więc w stronę, gdzie się rozlegały największe krzyki: przypadam... a tu około beczki wina bije się kilkunastu grenadyerów. Trunek niechaj się leje, pomyślałem, byle nie krew; dalej rozrywano postawy sukna i sztuki jedwabnych materyi; mniejsza o to! i choć mię wołają do spółki, zatykam uszy i lecę dalej... W tem z narożnego domu dolatuje mię jęk przeraźliwy, jakby miał być ostatni... jęk kobiecy... wpadam — długi, ciemny korytarz prowadzi mię do izby, kędy zastaję dwóch opitych rabusiów wydzierających sobie śliczną, może trzynastoletnią dziewczynę... Hiszpanka kawałkiem sztyletu broni się, czepia stołów, łóżek, zębami jak hyena kąsa ich w ręce... ale już biedna coraz omdlewa... Gdym stanął na progu, myślała, że nowy napastnik i padła na kolana wznosząc oczy do nieba... i niebo ją wysłuchało. Dwa ogniste płazy jak grom, sypnąłem na plecy rabusiów; zgłupieli... a tymczasem pochwyciłem maleńką na ramię, wyskoczyłem na ulicę i pytałem: gdzie cię schować, abyś była bezpieczną? «Alla iglesia»; i wskazała rączką na klasztór, który czernił o paręset kroków. Puściłem się więc jak szalony do Pańskiego przybytku, pewny, że tam znajdzie schronienie; zdawało mi się, że najzaciętsza wojna powinna te miejsca szanowac. Ale jakże zawiedliśmy się oboje! drzwi przedsionku były już wysadzone, — na korytarzach leżało dwóch mnichów, broczących się we krwi, a z głębi kościoła dochodził nas

łoskot i wrzaski. Gdzie cię schronić? pytałem. «Tu zostanę» i zsunęła się z moich ramion. Kościół pełen żołnierzy? «Znam miejsca, gdzie ich niema» i wskazała na ziemię. Zrobiłem co mogłem, niechaj Pan Bóg cię strzeże! «A ciebie Madonna del Carmen!...» to rzekłszy zdjęła ze szyi obraz Najświętszej Panny, malowany na złotej blaszce. «Noś go mój wybawco i wspomnij na Mariettę».

Pamiątkę przyjąłem z wdzięcznością, ona tymczasem znikła gdzieś za filarem. Patrzcie — tu major otworzył koszulę na piersiach i pokazał duży medalion — nosiłem go przez wszystkie kampanie i mogę powiedzieć, że mię chronił od wielu niebezpieczeństw; bo kiedy koło mnie jak muchy padali ludzie, mnie i włosek nie spadł... Czy podobna, mówiłem do siebie, aby miejsce święte, jak kościół, jeszcze katolicki, zostało zgwałcone! Pewnie to panowie Francuzi, którzy niedawno wyparli się byli Boga, bezczeszczą przybytek Pański, źle pójdzie nasza sprawa, żeśmy się z tymi djabłami związali...

Tak rozmyślając, wbiegam przez zakrystyę... Jakiż mnie widok uderza?!... Kilkudziesięciu żołnierzy, a wszyscy prawie z naszego pułku na piękne rabują: jedni wiszą na gzymsach ołtarzy i ściągają Apostołów; owi ze Świętych zdzierają sukienki; odpruwają galony z firanek; szablami krają ornaty, któryś świętokradzką ręką otworzył cyboryum i rękojeścią pałasza zbija w bryłę złoty kielich, wysypawszy na ziemię komunikanty; inny to samo robi z monstrancyą!... Osłupiałem, zdawało mi się, że sklepienie kościoła runie na bezbożnych... Chciałem krzyczeć, język mi przyrósł do podniebienia... Nie wiem jakie wrażenie zrobiła na nich postać moja skamieniała i ręka z wzniesionym pałaszem, i bladość śmiertelna twarzy, czułem bowiem, że wszystka krew ubiegła mi do serca...

Nie wiem, lecz to dobrze pamiętam, że, jakby w nich piorun uderzył, jakby ozwało się piekło sumienia, pospuszczali oczy i żaden nie kończył, co zaczął. Była to chwila krótka, ale nie do opisania. Rozmyślając nad tem nieraz, przekonałem się, ile może dokazać niema potęga ducha; o, wtenczas byłem duchem wyższy nad wszystkich: w milczeniu mojem, w postawie uroczystej, groźnej, czytali wyrok swej zbrodni; nie jeden może przypomniał sobie kościółek swojej parafii, gdzie się dzieckiem modlił, gdzie pierwszą przyjął Komunię, gdzie rodziców pogrzebał... Chciałem już ogromnym głosem zawołać: Precz stąd! ręce wam pousychają, nogi przyrosną do tych ołtarzy; żaden z was ziemi swojej nie ujrzy... ale, nimem usta otworzył, jeden z tych, co zalazłszy na chór, kamieńmi odbijali klejnoty i perły z bogatej

sukienki Najświętszej Panny, obaczywszy mię, zawołał: «Panie wachmistrzu! a chodźże pomóż nam, rady sobie dać nie możemy, patrz, jakie perły duże, by orzechy!» To jego piekielne ozwanie się zniszczyło cały urok wrażenia; ze wszystkich bowiem stron zaczęli na mnie wołać: «Spóźniłeś się, ale nic to, podzielę się z tobą: na ci kawałek srebrnego lichtarza; pół ornata dla ciebie wachmistrzu; przełamię się z tobą kawałkiem patyny, wyborne złoto, miękkie jak papier...» Zatknąłem oba uszy, a potrząsając w górę pałaszem, wołałem na rany Boga ukrzyżowanego, toć ogień niebieski was spali, pierwsza kula nie minie, i toż wy dzieci Bożego kościoła?... Bodajeście nigdy nie byli się rodzili na hańbę naszego narodu!... Już nie pamiętam, co tam dalej mówiłem, wiem tylko, żem krzyczał na całe gardło, żem klękał, wyciągał do nich ręce i zaklinał na wszystkie świętości... Gdy tak przemawiam, porucznik, wolę zamilczeć jego nazwisko, szalona pałka, zeskoczył z ołtarza, a przypadając mi do twarzy z dwoma pięściami: «Co ty tu sobie rozumiesz, młokosie», wrzeszczał pieniąc się od złości, «morały schowaj dla siebie i dla tobie równych, a nas nie ucz, cośmy więcej prochu wąchali...»

Natarczywość jego odbiłem zimną pogardą i rzekłem z przekąsem: Piękny mi przykład... «Do kroćset batalionów, wachmistrzu, trzymaj język; czy wiesz, co subordynacya?...» Przed frontem, ale nie na rabunku, odpowiedziałem. Porucznik się zmięszał, poczerwieniał, zagryzł wargi i odstąpiwszy dobył szabli, chciał mię ciąć przez głowę, alem sparował. «Aresztuję waćpana! odebrać mu pałasz!» krzyczał obracając się do żołnierzy. Wspólnicy rabunku już się podsuwali i kto wie czyby nie byli utłukli, a winę na Hiszpanów zwalili, gdyby szczęściem odgłos bębna nie rozległ się po murach i adjutant marszałka Bessiers, nie wpadł z rozkazem, aby pod karą śmierci przestano rabunku. To mię uratowało; żołnierstwo co tchu uciekało z kościoła, ciesząc się z tem, co który urwał, porucznik zaś krzywem okiem mię zmierzył i pogroził: «Zjesz djabła, jak ci to puszczę płazem!... alem drwił z tych pogróżek, bo sumienie nic mi nie wyrzucało; a choćby i stołka mógł przystawić, to dla takiej sprawy cierpieć większa zasługa.

Wyszedłszy z klasztoru za innymi, postrzegłem ulice ożywione mnóstwem różnego żołnierstwa, którzy podobni do żeńców na obrzynku, używali teraz owoców pracy; zbiegowisko to miało minę niby karnawału, niby święta narodowego, niby bandy rozbójników bankietującej w lesie... Tutaj Holender wyskawiwał z kręgiem sera i z dzbanem wina, nawieszawszy na biały mundur kręconego tytuniu; owdzie Francuz dobrze ścięty objuczył

plecy sukniami kobiecemi i lezie mi w oczy, abym co kupił dla mojej belli; Badeńczyk zgiął się pod ciężarem kiełbas i szynek; w rynsztoku tarza się pijana markietanka; znowu ulicą ciągnie zgraja, rycząc przypomnioną sobie pieśń, poprzedzana zataczającym się grajkiem, który brzdąkał na skradzionej gitarze.

Tyle scen to śmiesznych, to wzbudzających przykre uczucie, przewijało się przed mojemi oczyma, że prawie odurzony wróciłem do naszego stanowiska, gdzie zastałem większą część żołnierzy, którzy obłowiwszy się teraz puszczali w handel różne kosztowności, sprzedając najczęściej za manierkę gorzałki, rzecz wartającą kilkanaście dukatów, albo też na rozpostartym płaszczu zgrywali się w karty do jakiegoś spekulanta, co bank założył. Czy tym, czy owym sposobem na to, który został przy zdobyczy, wszystko jak było marnie nabyte, tak zbyte; tylko na dobitek wielu pościągało na siebie karę Boską w następnej bitwie w sposób bardzo widoczny i przekonywujący, — tylko nie dla wszystkich, gdyż wielu, którym zwracałem na to uwagę, nie chcieli wierzyć, składając na zwyczajną kolej bitew i stosując przysłowie: że gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą....

Dalszy nasz pochód odbywał się jak zwykle śród drobnych utarczek z bandami powstańców; żadna większa siła nie ukazywała pola; wiedzieliśmy bowiem, że niedobitki hiszpańskie zbierały się w górach, chcąc nam zamknąć przejście do Madrytu. Na dwa dni przed zdobyciem Sommo-Sierry, przednia nasza straż dościgła piechotę hiszpańską w wąwozie Buwierka; rozprawa była krótka, a zwycięstwo przy nas.... Odtąd szliśmy już wciąż górami — aż dnia 29-go listopada cały korpus marszałka Victor zebrał się u stóp skał, które przed nami wznosiły się stromo, przepaścisto, niby mur jakiej olbrzymiej twierdzy. Zajęliśmy stanowisko przy jakiejś wioseczce na pół zrujnowanej: nie kazano nam ruszać się od koni, ale pozwolono rozpalić ogniska; tem bardziej, że zimno wilgotne na wskroś przejmowało, a i posiłek potrzebny był wojsku — przeto każdy sobie warzył, co miał w zapasie; — ja zaś, pamiętam, raczyłem się z kolegami wyborną czekoladą, w którą się jeszcze w Lermie zaopatrzyłem. — Obóz hiszpański, będący naprzeciw, gdy się ściemniało, przepiękny widok nam sprawiał tysiącem ognisk, które jak lampy migały zawieszone na ciemnem tle tych skał nagich, pomiędzy któremi wił się wąski gościniec madrycki — jutrzejsza nasza droga do sławy lub śmierci.... Zapomniałem jeszcze napomknąć, że dnia tego z kolei szwadron nasz był na straży przy cesarzu, która to okoliczność tem bardziej utwierdzała nas w mniemaniu, że jutro może i nie dobędziemy pałasza.

Bardzo więc długo i wesoło gawędziliśmy w obozie, prawiąc różne historyjki, przypominając sobie to dawniejsze lata, to różne znajomości i stosunki familijne; jaki taki westchnął za domem, za rodzicami, za braćmi, a każdy pytał: kiedy też da nam Bóg wrócić na nasze zrazy i kaszę?... W końcu ożywiona ta biesiadka zeszła na smętne tylko przypomnienia; jakaś tęsknota, wróżka złego przeznaczenia osiadła czoła wiarusów; pospuszczali wąsy — ja zaś, sam nie wiedząc, dlaczego byłem ochotszy niż kiedy; żarty mi się nie przebierały tak dalece, że niektórych ten dobry humor obrażał, i jeden, jakby na przestrogę mruknął z pod nosa:

— Ej wachmistrzu, za nadtoś dziś szalony, żebyś jutro nie beczał!

Zmilczałem, alem w duchu rzekł sobie: chyba nad wami! I prawda, płakałem ich przy jutrzejszem ognisku, gdyśmy się i połowy towarzyszy dorachować nie mogli.... W kampanii, jak to sami zapewne doświadczyliście, snopek słomy i suchy kawałek ziemi, jest rozkoszą, która wszystkie inne przewyższa, — wyspać się dobrze to prawdziwe szczęście. Owoż tej nocy, tak się zdarzyło, żeśmy obozowali blisko jakiejś posady, czyli karczemki, ale tak zniszczonej, że nawet dach nie został; — tam, rozlokował się na noc nasz rotmistrz Kozietulski z kilkoma oficerami i mnie się też dostał, jako wachmistrzowi szwadronowemu, kątek suchy i miękki snopek.... Możecie sobie wyobrazić, żem zasnął twardo i smaczno; zrazu żadne marzenie nie kłóciło spoczynku i wszelkie czucie było mi odjęte z zapomnieniem trosk i niepokojeń tego życia, których wszakże najmniej doświadcza żołnierz na linii bojowej.... dopiero, jak wnoszę, nadedniem, ujrzałem się w domu mego stryja, przy którym mieszkałem po stracie rodziców.

Był prześliczny ranek majowy.... biegałem po ogrodzie między grządkami kwiatów, takich woniących, takich barwistych, jakichem nigdy w życiu nie widział... Oko moje zachwyciła szczególniej jedna lilia piękniejsza nad wszystkie wielkością korony, srebrnym połyskiem liścia. — Stanąłem nad nią i wpatrywałem się jak oczarowany, jak kochanek w oczy kochanki, przez które czyta w jej duszy miłość i nadzieję.... Mnie się zdawało, że lilia ma duszę, że w niej czytam głęboką jakąś tajemnicę.... potem, jakbym dostał zawrotu, jakby dziwna ogarnęła mię trwoga, ukląkłem. — Aż oto z kielicha wypływa śliczna postać niewiasty: jasne jej czoło otacza wieniec z promyków, biała szata nadzwyczajnej miękkości spływa do stópek, któremi zaledwo dotykała liści liliowych.... Na to zjawisko zacząłem mó-

wić: Błogosławionaś między niewiastami!... i złożyłem ręce do modlitwy.... Wtem postać przemówi cichym a dźwięcznym głosem: Wachmistrzu, czytaj apel!... usłuchałem komendy, sięgnąłem za nadrze i wyjąłem listę.... — Czytaj! powtórzyła. Czytałem więc od początku do końca, a ona przy niektórych nazwiskach pokazuje palcem i mówi: połóż krzyżyk ołówkiem.... Gdym skończył i podniósł oczy, już znikło widzenie.

W tej chwili głos trąbki zadzwonił mi w uszy; zerwę się na równe nogi — spojrzę — jeszcze szaro na dworze — mgła gęsta w powietrzu, ale od strony wschodu świt zaczynał rumienić niebo.... Aż tu i rotmistrz przypada: Wachmistrzu! każ stawać do apelu; cesarz za moment będzie przejeżdżał; piechota już się uciera, czy słyszysz strzały? — W rzeczy samej głuchy odgłos ognia karabinowego rozlegał się po górach. — Ależ to dziwny sen miałem panie rotmistrzu! — mówię zajęty mojem marzeniem. — Potem o tem; a teraz spiesz się.... odrzekł, wołając niecierpliwie na ordynansa, by mu konia podawał.... Nie długo stałem przed uformowanym szwadronem, i czytałem apel, pamięć dochowała mi wiernie nazwiska, oznaczone krzyżykiem we śnie; dlatego przy czytaniu porobiłem też same znaczki — najwięcej mnie uderzyło, iż wszyscy, których widziałem na rabunku w Lermie, dostali krzyżyk...

Gdym skończył — po szeregach przeleciał głuchy szmer: Cesarz! cesarz!... i kilkudziesięciu jeźdźców przegalopowało przed nami. Poznałem go zaraz po szarej kapocie, po trójgraniastym kapeluszu i po tem oku, co wlepione w tę masę skał, już naprzód wytknęło drogę zwycięstwu. — Kozietulski zakomenderował: Czwórkami! kłusem! i szwadron kopnął się za Napoleonem.

Po drodze napotykaliśmy różne pułki, to piesze, to konne, to artyleryę, zajmujące stanowiska. Patrząc na niezdobyte prawie stanowisko Hiszpanów, którzy na wązkim gościńcu wykutym w skałach, ustawili byli działa i ciągły sypali ogień — wróżyliśmy krwawą rozprawę, ale nam nigdy i przez myśl nie przeszło, aby kawalerya miała zdobywać ów wąwóz. Jednak cesarz tak w swojej głowie uradził i dokazał swego — inny pospolity generał byłby odszedł z kwitkiem.

Widzieliśmy, jak piesze pułki coraz więcej wysyłały tyralierów, ale nic wskórać nie mogli, bo Hiszpanie palili jak z za muru, a wdzierających się spychali na dół bagnetami.... Mgła powoli rozedniała w dolinie, a szczyty gór jaśniały już dziennym blaskiem. Cesarz stanął na jednym pagórku i przez lunetę patrzał, — myśmy się również zatrzymali, przeto mógłem go śledzić w każdym ruchu: — po wężykowatym kierunku jaki na-

dawał lunecie, poznałem, że duch jego biegł tym krętym gościńcem, najeżonym działami; w drgnięciu niespokojnem ręki, wyczytałem jakąś tajemną obawę, która musiała w końcu nastąpić z myśli, bo uderzeniem dłoni, gdy zesunął członki lunety, taki wzrok rzucił ku górom, jakby chciał wyrzec: głupcyście! Niema ta scena tyle mnie zajęła, żem nawet nieuważał, jak kule gradem obsypywały nas, dopiero, gdy Dziowanowski zginął, poznałem, na co to się zanosi i mówię do rotmistrza stojącego obok mnie: Zaczynają dogrzewać.... — Nie tak tu jeszcze będzie — odrzekł kiwając głową — dajno wódki wachmistrzu, coś chłodno.... do ciebie!... Ledwie mi oddał manierkę, gdy adjutant cesarski przypadł z rozkazem, ażeby nasza konnica poszła do ataku na górę. — Wiara! pokażmy co umiemy! — krzyknął Kozietulski. — Naprzód, marsz, marsz!...

Odtąd już nie jestem w stanie opowiedzieć, co się tam działo koło mnie, nademną, podemną. Wiem, żeśmy się darli jak na piec.... Kartacze jak stada szpaków spadały na nas, granaty pękały nad nogami — cała góra, by wulkan w ogniu, zasypywała nas lawą pocisków.... nie wiedziałem już, kto tam padał, kto nam zastępował — nie wiedziałem, czym był na koniu, czy pieszo, bo pęd masy mnie unosił ciągle naprzód, ciągle pod górę, przez działa, przez trupy zrąbanych kanonierów.... Tylko to pamiętam, że mi ustawnie w oczy zaglądały paszcze dwóch dział — jak mora, która cię dusi, którą odepchniesz na chwilę, a ona znowu powraca.... Było tego, już nie wiem wiele razy, zapewne tyle ile par dział musieliśmy zdobywać na każdym zakręcie — później liczyliśmy, było ich szesnaście. Ośm więc razy biedny nas szwadron wytrzymywał tę piekielną łaźnię.... Jużeśmy docierali prawie do końca.... obejrzę się.... ledwie kilkunastu gwardyaków kręci się przy mnie, ale za to długi pomost koni i trupów ciągnie się aż do podnóża góry.— Szukam oczyma dowódzcy.... a oto on opodal za nami leży pod koniem i woła wyciągając rękę: Bracia ratujcie honor Polski! Naprzód! Naprzód!...

Nie było już komu iść naprzód.... Hiszpanie na naszą garstkę sypnęli z wierzchołków skał nieustający ogień.... Jedna kula trafiła mię w słońce na kaszkiecie, inne płaszcz podziurawiły, a trzy ugodziły w piersi — czy uwierzycie? wszystkie odbiły się o medalion z Najświętszą Panną.... pokażę wam znaki. — Widząc co się dzieje, jaki taki choć żal mu było ginąć daleko od ojczyzny, jednakże postanowił drogo sprzedać życie Hiszpanom, tem bardziej, że niestworzone rzeczy wyrabiali z jeńcami. Czekaliśmy tedy na nich z rezygnacyą i podniesionemi szablami....

Opatrzność zrządziła inaczej: nie wyszło i trzy Zdrowaś Marya, kiedy wąwozem rozległ się okrzyk: Hurra! Serce nam zabiło nadzieją.... i oto Krasiński z Dotankurem sadzą na czele pozostałych trzech szwadronów gwardyi.... Odtąd już się przeważyło zwycięstwo zupełnie na naszą stronę: opanowaliśmy szczyty gór — nieprzyjaciel wszędzie tył podawał, rzucał chorągwie, działa, bagaże, a myśmy wsiadłszy mu na karki, jechali na nim aż do Buitrago.... Zwycięstwo to okryło nas nieśmiertelną sławą. Napoleon z radości trzy razy zażył tabaki i zatarł ręce powtarzając: to djabły nie ludzie!... Z tem wszystkiem gdyby Hiszpanie byli choć jeden zasiek zrobili na gościńcu, i djabły nicby nie wskórali.... Nie darmo to bystre oczko Napoleona zaraz dostrzegło tę chybę, skoczył do głowy po rozum i posłał jazdę. Każdy inny byłby forsował piechotą.... Znajdźcież drugiego Napoleona!!...

Opowiadający zamyślił się, a raczej skończył.... Obecni mieli oczy weń wlepione, jakby czegoś jeszcze się spodziewali; aż jeden najmłodszy z nich, zniecierpliwiony milczeniem majora, zagadł: Pan dobrodziej nic nam nie mówisz o sprawdzeniu się przepowiedni; czyż wszyscy ci zginęli, co dostali krzyżyk?... Wszyscy, co do jednego! odparł major z westchnieniem. — Przed apelem pokazywałem listę kilku kolegom, naliczyliśmy pięćdziesiąt siedm krzyżyków; po apelu podałem w raporcie pięćdziesięciu siedmiu zabitych.

L. S.

I jak tu nie być antisemitą?

To pytanie natrętnie nasuwa się na myśl, jeżeli się bacznie rozglądniemy w stosunkach ekonomicznych czy wsi, czy miasta, czy weźmiemy na uwagę stosunki rolnicze, czy przemysłowe, czy handlowe i t. d.

Równouprawnienie otworzyło żydom wrota do wszystkiego, i wszędzie się oni wciśli; za złe im tego brać nie można — ale za złe im brać trzeba, że każde pole pracy na które wstąpili, zdeprawowali — niesumienną i na wyzysk obliczoną konkurencyą

Żyd, to nomada koczujący; spasa okolicę, w której się osiedlił, a gdy już jego stado nie znajdzie pożywienia, bez żalu opuszcza wyniszczone łany, przenosząc się gdzieindziej, by znowu w swój rozbójniczy sposób eksploatować.

Tem się też tłumaczy okoliczność, że żydzi nigdy się nie z asymilują z żadnym narodem wśród którego żyją. Nasi polscy żydzi klną się, że są Polakami, dopóki po za granicę kraju nie wyjrzą, ale ten sam żyd, co u nas był Polakiem, niech tylko pojedzie do Wiednia, a jest już Niemcem i w łamach *Nowej Pressy* ochydzi kraj, co go wychował i potem pracy autochtonów utuczył. Żydzi nie mają żadnej ojczyzny; wprawdzie w Krakowie nazywają się Polakami, w Wiedniu Niemcami, w Pradze Czechami, w Paryżu Francuzami i t. d., ale kto w ich patryotyzm wierzy, ten buduje na lodzie — oni zawsze i wszędzie pozostaną tem, czem są, żydami, czychającymi na zgubę i wyzysk gojów, dążącymi do zgromadzenia w swem ręku największego bogactwa i co za tem idzie do panowauia nad światem.

A w tej pogoni wszyscy biorą udział bez wyjątku, począwszy od handełesa i szynkarza wiejskiego a skończywszy na milionowych bankierach stolic — i pracują wytrwale, solidarnie, a wszystkiem kieruje potężna „Alliance izraelite“.

Lecz do rzeczy.

Rozglądnijmy się w stosunkach wiejskich i przypatrzmy się roli żyda w stosunku z chłopem i szlachcicem.

Kto nie zna naszych karczem i naszych szynkarzy, kto nie zna ich zgubnej i demoralizującej roboty?

Karczma we wsi, w której tradycyjnie siedzi żyd, to nie jest sobie zwykły wyszynk wódki i piwa. Karczma jest w naszej wsi wszystkiem, bo obok szynku, jest zarazem sklepem towarów wszelkiego rodzaju, trafiką, bankiem, a w wielu wypadkach miejscem posiedzeń Rady gminnej

W karczmie żyd chłopa nietylko rozpaja, demoralizuje, ale i niszczy materyalnie.

Mortko lub Szmul jest nadzwyczaj usłużny; że nie doważy lub nie domierzy, to za to usłuży kredytem, zborguje chętnie i dług zapisze podwójną kredką.

Zamiast pieniędzy przyjmie kurę, kilka jaj, cielę — a choć to policzy poniżej połowy wartości, to przecie on musi za zrobioną wygodę mieć jakiś zysk. W takiem wygodzeniu ludziom bierze udział cała rodzina. Mortko robi interesa z gospodarzami, Sura obchodzi chałupy i wyłudza od gospodyń co się da za darmo lub za pół darmo, a mały Jojne sprzedaje chłopakom papierosy, wódkę i za to bierze skradzione ze spichlerza zboże lub złapane na podwórku kurczę.

W razie potrzeby karczmarz gospodarzowi służy pożyczką na niewielki procent, ot 4 od sta albo 5 — ale na miesiąc — a oprócz tego trochę jaj, trochę masła i t. p.

Cóż dziwnego potem, że chłop, który tyle dobrodziejstw od Mortka doświadcza, traci gospodarstwo na rzecz swego dobrodzieja i sam potem idzie do niego na służbę, albo za resztę mienia emigruje do Ameryki.

Cóż dziwnego, że demoralizowany od maleńkiego przez Jojnę chłopak, wyrasta na nicponia i pijaka.

To zakres działania karczmarza i jego rodziny. Szczęśliwa wieś, co tylko jednę taką pijawkę posiada, ale syny Izraela tak się na pulchnej glebie galicyjskiej rozrodziły, że niema wsi, by w niej nie mieszkały 3, 4 i więcej rodzin żydowskich, które nie orzą, nie sieją, a przecie żyją, niszczą chłopów, wykupują ich gospodarstwa, a potem na nich dawny właściciel jako żydowski parobek pracuje.

Ustawa o lichwie zrobiła żyda nieco ostrożniejszym, ale go nie poprawiła, świadkiem procesy tu i owdzie *in flagranti* połapanych lichwiarzy, a śmiało twierdzić można, że każdy żyd operujący wśród chłopów to lichwiarz, tylko ma to szczęście, że jego działalność nie doczekała się komentarza przed kratkami sądowemi.

Skradzione kapitały żydowskie znalazły jednak inny sposób legalnego rozboju lichwiarskiego.

W każdej prawie mieścinie powstał żydowski banczek, Towarzystwo zaliczkowe (nie mówimy tu o powiatowych lub miejskich instytucyach tego rodzaju), które na zasadzie swoich statutów prowadzi lichwę na wielką skalę, pobierając od interesantów wysokie koszta administracyjne, procenta zwłoki i t. d.

Żyje również dobrze w pamięci błoga działalność Banku włościańskiego, który tysiące rodzin chłopskich wyzuł z mienia i pochłonął setki tysięcy lokowanych w nim kapitałów. A była to instytucya czysto żydowska!

Idźmy dalej!

Pośrednikiem handlu na wsi jest żyd. Chłop czy co chce kupić, czy sprzedać, zawsze się spotka z żydem.

Czy zboże, czy bydlę wywiezie na targ, nikt nie kupi tylko żyd; żyd jest regulatorem ceny na targach miasteczkowych, oferuje co chce, bo nie ma konkurenta, oczywiście ciągnie z tego jak największą korzyść, a chłop sprzedać musi, bo trzeba grosza to na podatek, to na odzienie, to na buty

Chce wieśniak co kupić, to znowu tylko u żyda; w małem miasteczku rzadko gdzie handel katolicki, a choć i jest, to stale bywa przez lud wiejski pomijany, tradycyjnie ciągnie chłop do żyda, bo z nim się i wykłócić i wytargować można, co w chrześcijańskim handlu nie uchodzi, a że żyd i na wadze lub miarze

oszuka, że weźmie wyższą cenę jak katolik, a da towar lichy, tego trudno wpoić naszemu chłopu.

I jak tu nie być antisemitą?

Jak nie dziwić się, że ten wyzyskiwany na każdym kroku chłop nie jest antisemitą, że dotąd spokojnie znosi wyzysk i arogancyę żydowską?

Spokój jego chyba jednak nie potrwa w nieskończoność, jeśli tak dalej pójdzie — świadkiem rozruchy ostatnie krwawe na frysztackim rynku, zakończone latami więzienia uczestników. Antysemityzm chłopa wywołany wyzyskiem żydowskim i żydowską arogancyą będzie straszny.

Spychano przyczynę rozruchów na jakichś nieznanych agitatorów, choć żadnego nie ujęto; tu nie było innych agitatorów oprócz samych żydów i jedno może słowo podchmielonego chłopa antysemity wywołało na ogromnym szmacie kraju rozruchy, które dopiero bagnetem i sądami doraźnymi trzeba było uspokajać.

Wypadki te powinny być przestrogą z jednej strony dla władz. by seryo wzięły się do ukrócenia lichwy żydowskiej, gdziekolwiek ona się objawia, a z drugiej dla samych żydów, by zbytnio przez nich naciągana struna nie pękła, bo przyszły wybuch nie skończy się pewnie na betach i szybach żydowskich.

Nie w lepszych stosunkach znajdnje się szlachcic — i jego lichwa żydowska otula w swe powijaki, i on choć inteligentniejszy, choć zasobniejszy padł ofiarą żydowskiego wyzysku i rok rocznie stale w coraz więcej dworach i dworkach rozsiada się żyd — nie dawno karczmarz lub pachciarz.

Odsyłamy czytelników do znakomitych nowelek Junoszy, który z gorzkim humorem kreśli z jednej strony lekkomyślność szlachty, ż drugiej wyrafinowane oszustwa żydowskie.

Sprzedaż zboża na pniu, terminowe dostawy to zwykły interes żydowskich spekulantów miasteczkowych, na którym szlachcic grubo traci a żyd grubo zyskuje. Ale najwięcej rolnictwo niszczy giełda zbożowa — a kto rej wodzi?

Żydowscy bankierzy. Oni ustanawiają ceny, jakie im się podoba, oni są panami rynku. Za podyktowaną cenę rolnik musi sprzedać swoje ziemiopłody, a że rok rocznie traci, to tych panów nic nie obchodzi, i wszem zbliża ich do celu, bo jeden bankrut chrześcijański więcej, to nowy żyd zajmujący jego miejsce we dworze i majątku.

Rolnik chrześcijanin pracuje, a żyd z tej pracy zysk do kieszeni chowa, czy to jako kupiec, czy jako pośrednik.

I jak tu nie być antysemitą?

Jak się nie dziwić, że ten wyzyskiwany szlachcic nie jest jawnym antysemitą, że nie szuka jeżeli już nie przez wzgląd na siebie, to na swoje potomstwo, na kraj, drogi ratunku, że trzyma dalej żyda pachciarza, karczmarza i bez faktora żyda się nie obejdzie.

Nie chcemy bliżej zajmować się kwestyą, jak wygląda majątek ziemski — gdzie żyd właścicielem, jak się tam mają chłopi, jaka tam moralność między ludem, bo to był bardzo przykry obraz, a niestety w skorowidzu dóbr tabularnych na każdej prawie kartce wyczytać można takie szlacheckie nazwiska jak: Rachmit Kanarek, Juda Rubel, Katzenellenbogen i t. d.

Największe spustoszenia sprowadzili żydzi w naszych małych miasteczkach. Rojne niegdyś od zamożnego a dość butnego mieszczaństwa, nasze miasteczka zżydziały po prostu. Rynek i główniejsze ulice miasteczek są w posiadaniu żydów, chrześcijanie tulą się po przedmieściach.

Ale przypatrzmy się rzeczy na przykładzie. Znam jedno miasteczko w zachodniej Galicyi od lat przeszło 40, bom się w nim urodził i wychował.

Jak sięgnę pamięcią, znałem tam 4 rodziny żydowskie, a tylko dwa domy były w posiadaniu Izraela, nie było tam jeszcze ani bóżnicy, ani cmentarza żydowskiego.

Mieszczanie nosili siwe długie kapoty, baranie czapki, mieszczki ubierały się malowniczo; każde rzemiosło miało swoich przedstawicieli, a dobrobyt wśród mieszczan był widoczny. A dziś? Ludność w miasteczku w połowie większej żydowska, większa połowa domów w ręku żydów, mają piękną bóżnicę, w Radzie miejskiej zajmują połowę krzeseł, wszystkie sklepy w ich ręku, a ludność chrześcijańska? Kilku silniejszych ekonomicznie jeszcze się trzyma, reszta goni ostatkami. Większa część dawnych mieszczan nie mając już podstawy do egzystencyi, wysprzedała ojcowiznę i poszła do Ameryki.

Nasz małomieszczanin jest zwykle rzemieślnikiem (wprawdzie lichym) i rolnikiem. Rzemiosło i rola składały się na jego utrzymanie, dziś pozostała mu sama rola, bo rzemiosło tak w naszych miasteczkach upadło, że prowadzenie warsztatu poprostu się nie opłaca.

Było za mojej pamięci w miasteczku kilku krawców, wszyscy mieli dość roboty i działo im się nieźle, póki mieszczanie nosili czamary i kapoty.

Dziś małomieszczanin kupuje ubranie od żydów tandeciarzy zalewających targi tygodniowe starzyzną kupowaną w miastach większych, a inteligencya swoje potrzeby zakupuje w magazynach miast większych, znikli więc z horyzontu małomiasteczkowego krawcy. Znikli i tkacze, bo pocóż uprawiać len, prząść, dawać do tkania a potem bielić płótno, skoro w sklepach żydowskich tyle bawełnianych tkanin cienkich a tanich — choć złych i słabych?

Liczba szewców zaopatrujących w obuwie okoliczne wioski zmniejszyła się do połowy, bo znowu tandeta zabrała im połowę roboty, a zmonopolizowany w ręku żydowskim handel skórą i t. p. oddaje rzemieślnika na łaskę i niełaskę żyda, zwłaszcza, jeżeli rzemieślnik potrzebuje kredytu. I tak z każdem rzemiosłem.

Przemysł fabryczny zabił rzemiosło, odjął źródło zarobku drobnemu rzemieślnikowi, z tego wyciągnął korzyść żyd handlarz, który zagarnąwszy w swe ręce handel wszystkiem, resztę niedobitków trzyma w kleszczach kredytu lichwiarskiego.

Słynęły pewne okolice w naszym kraju z przemysłu domowego, dziś przemysł ten upadł; tu i owdzie zaczyna się dźwigać wsparty pomocą krajową lub energią jednostek; n. p. sukiennictwo w Rakszawie, powroźnictwo w Radymnie, tkactwo w kilku miejscowościach, ale są jeszcze okolice, gdzie przemysł ten rodzimy jęczy w żydowskiej niewoli.

Sławny był niegdyś Andrychów wyrobem drelichów, i dziś setki tkaczów dycha tam jeszcze zaprzągnięte do kieratu żyda G..., który cały zysk pracy tych setek zgarnia do swojej kieszeni.

Samoistnego tkacza tam nie ma, G. daje przędzę, ordynuje roboty, naznacza cenę robocizny, jemu tkacz odnosi gotowy towar, on go sprzedaje, naturalnie że cały zysk zostaje u niego. A takich G. mamy w każdym miasteczku.

Śmiało twierdzić możemy, że nasz rzemieślnik małomiasteczkowy pracuje wyłącznie prawie na podobnych wyzyskiwaczy, a oplątany ich siecią z niewoli tej wydobyć się nie może.

Istnieje n. p. w miasteczku handel chrześcijański, to solidarne dzieci Izraela potrafią konkurencyą niesumienną i innymi im tylko właściwymi sposobami tak dogodzić jego właścicielowi, że albo musi zbankrutować, albo sam zwija interes, by jeszcze resztki mienia ocalić.

Oto stosuuki naszych małych miasteczek!

I jak tu nie być antysemitą?

Najlepszem polem do operacyj żydowskich są jednak miasta większe. Tu wygodnie i po cichu można przygotować od dawna

zamierzone bankructwo, po cichu wynieść towar ze sklepu do swojego szwagra, a potem ogłosić niewypłacalność. Że na tem chrześcijańscy fabrykanci stracą, cóż to obchodzić może żyda, kiedy on zarobił kilkanaście tysięcy na tym interesie, a że na parę tygodni w najgorszym wypadku pozna się z kryminałem, to przecie nie wieczność.

Tymczasem jego szwagier w tak piękny sposób zdobytem towarem handluje, a dając towar po cenie nader niskiej, robi skuteczną konkurencyę gojom.

Drobny rzemieślnik w mieście większem, to prawdziwy żydowski niewolnik. Materyał bierze od żyda na kredyt, płaci mu lichwiarskie procenta, więc mizerny swój zarobek dzielić musi z lichwiarzem, a w domu głód i bieda. Zresztą żydowskie zakłady konfekcyjne, zapełnione wszelaką tandetą fabryczną już i tak zadały śmiertelny cios drobnemu przemysłowi rzemieślniczemu.

W miastach większych jest zwykle siedziba władz wyższych garnizonów wojskowych, co za śliczne pole działania dla kapitalisty żydowskiego, i ile to procentu przyniesie na rok setka puszczona w ruch między urzędników lub oficerów na 12 procent miesięcznie. Ile to samobójstw, ile defraudacyj sprowadziła lichwa żydowska wśród sfer urzędniczych i oficerskich. A złota młodzież — to prawdziwa kopalnia złota dla kapitalisty wybranego narodu.

Wszak dość przykładów, że złoty młodzieniec po to tylko stawał się pełnoletnim, by majątek swój oddać lichwiarzowi za weksle podpisywane, gdy jeszcze majątkiem rozporządzać nie mógł.

Rajfurstwo i domy rozpusty, nocne kawiarnie, tingl tangle to prawdziwy żydowski sport, gdzie chrześcijanie tracą zdrowie, pieniądze i moralność, a żydzi zbierają pełnymi garściami złoto lekkomyślnie wydawane.

Specyalnością żydowską są także agentury; dziś żaden kupiec bez agenta towaru nie sprowadzi; płaci więc fabryce, względnie producentowi za towar, agentowi za pośrednictwo, a agentami sami żydzi.

Agent żydowski więc ani nie sprzedając, ani kupując, zarabia grube sumy ze szkodą tak dla fabryki, dla kupca i dla konsumenta.

Gdzie szkoły średnie, tam pewnie znajdzie się kilka żydowskich antykwarń. Nie byłoby to złem, bo nie każdego ojca stać na kupno nowych książek, ale żydowski antykwarz sieje demoralizacyę wśród młodzieży szkolnej, kupując od malców książki w każdym czasie, naturalnie za niemożliwą niską cenę.

A skutek? Chłopak nie mając książki zaniedbuje się, uzyskane za sprzedaż książki centy trwoni, przyzwyczaja się do szynku, a gdy

wszystkie książki powędrowały już do żyda, zabiera książki kolegom. A na co taki chłopak wyrośnie? to już zasługa żydowskiego antykwarza.

Nie mówię już o bankach żydowskich, które uprawiają legalizowaną lichwę, ale doświadczenie uczy, że kto raz do żydowskiego banku po kredyt się zwrócił, ten może mówić o szczęściu, jeżeli tylko dobrze, a nie całkiem oskubany, z tego interesu się wydobył.

Oto krótki szkic działalności żydowskiej na polu ekonomicznem.

I jak tu nie być antysemitą?

Z rekapitulacyi wynika, że żydzi niszczą rolników i rolnictwo, handel i przemysł chrześcijański podkopują, lichwą niszczą wszystkie stany, słowem usiłowanie ich, to zdobycie na chrześcijańskiej ludności największego majątku, zubożenie gojów, aby potem nad nimi zapanować siłą kapitału.

Niegdyś urzędnik lub adwokat żyd był rzadkością; dziś połowa adwokatów żydów, połowa lekarzy żydów, w notaryacie znaczna liczba żydów, cisną się do urzędów, na katedry uniwersyteckie, do kolei, wnosząc z sobą swoją przewrotną etykę, którą już od ławy szkolnej nasze młode pokolenie przez koleżaństwo zatruwają.

I jak tu nie być antysemitą?

Nie lepszą rolę odgrywają w polityce i w życiu społecznem.

Niema partyi, gdzieby nie było żyda, są oni członkami partyi konserwatywnej, liberalnej, demokratycznej, a między socyalistami wodzą rej, a wszędzie potrafią z sukcesem bronić swoich interesów, wszystkich wyzyskać i siebie zasłonić — siedzą na dwóch stołkach. Kłócić partye, siać nienawiść narodową czy partyjną to ich sztuka, gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci — żyd — zyskuje.

Społeczeństwo nasze dobrze czuje zmorę żydowską, co je ciśnie, ale cóż robi dla swej obrony. Prawie nic. Są prawda ludzie dobrej woli, co zakładają sklepiki chrześcijańskie, Kółka rolnicze, starają się lud obronić przed zalewem żydowskim — ale to jeszcze mało.

W przeczuciu grozy niebezpieczeństwa, które dla naszych dzieci gotuje żydowską niewolę, powinien świat chrześcijański wziąść się do walki z żydowskim molochem.

Nie kupujmy nic od żydów — tem ich pobijemy, wspierajmy chrześcijański handel i przemysł a podniesiemy się materyalnie. Tu apelujemy do naszych pań, aby się nie kierowały maksymą fałszywą, że u żydów taniej, bo choć taniej na oko, to drożej w rzeczywistości, bo towar lichy a często kradziony. A do tego pamię-

tajmy, że każdy grosz dany żydowi, to środek w ręku żyda do ujarzmienia nas i naszego potomstwa.

Nie przeczę, że między żydami są także uczciwe jednostki, ale te stanowią wyjątek.

Czy wobec tego możliwem jest, aby społeczeństwo nasze nie stało się antysemickiem? Nie. Lepiej więc będzie, jeżeli uprawiając antysemityzm obronny, popieraniem przemysłu i handlu chrześcijańskiego, odbieraniem żydom opanowanych przez nich pól pracy i zarobku, usuniemy widmo wybuchu, który kiedyś musiałby nastąpić, jeżeliby społeczeństwo przyprowadzone do nędzy i skazane na służbę żydów, straciło nareszcie cierpliwość

Upadek protestantyzmu w Anglii.

Powszechnie już wiadomo, że katolicyzm szerzy się i rozwija olbrzymio pośród ludności angielskiej. W Londynie wznosi się już wspaniała katedra katolicka, a na prowincyi budują się kościoły setkami, tworzą się bractwa, parafialne instytucye, katolickie spółki, seminarya, klasztory.

Ruch ten zrazu powolny i prawie niedojrzany, stał się w ostatnich czasach niepowstrzymany, i katolicyzm staje się z dniem każdym potęgą, z którą rachować się trzeba.

Na razie byłoby może i niedorzecznością przypuszczać, że cała Anglia pewnego pięknego poranku ogłosi się katolicką, bo u wielu jeszcze tysięcy Anglików tkwi nienawiść do Kościoła, którego nienawidzą od 300 lat, ale coraz widoczniejsze są znaki, że to kiedyś nastąpi, i ta chwila jest coraz bliższą.

Coraz więcej bowiem przychodzi do wewnętrznej rozterki między protestantami starego autoramentu, a tak zwanymi „rytualistami“, którzy stanowią niejako prawe skrzydło kościoła anglikańskiego a coraz więcej od niego się oddalają, zbliżając się równocześnie do katolicyzmu. Rytualiści stanowić będą pomost do powrotu na łono Kościoła katolickiego.

Istotnie bowiem w zewnętrznych obrzędach i niektórych wewnętrznych urządzeniach, rytualiści już niczem prawie się nie różnią od katolików, tylko tem, że nie uznają jeszcze Papieża za Głowę Kościoła, że ich duchowni nie żyją w celibacie.

W ich kościołach atoli coraz więcej obrzędów katolickich. Oddają już cześć Matce Boskiej, duchowni odprawiają Msze św. wy-

stawiają Najśw. Sakrament, urządzają procesye, a nawet widać już i konfesyonały, u których wielu klęka dla odbycia spowiedzi.

Drażni to wielce zatwardziałych protestantów, więc zwołali niedawno wielki wiec za inicyatywą sir Wiliama Harcourt'a i żażądali aby królowej przedłożono petycyą w celu skłonienia bisku pów anglikańskich o tłumienie rytualistów i utrzymanie prawdziwego protestantyzmu

Z tego wywiąże się, jak łatwo przewidzieć kwestya brzemienna w skutki, bo jeżeli biskupi anglikańscy (protestanccy) zaczną prześladować rytualistów, to bez wątpienia wielka ich część przejdzie na katolicyzm, i szeregi katolickie od razu olbrzymio się zwiększą, co daj Boże jak najrychlej!

Odbudowanie Polski.

Autor bezimiennej broszury, wydanej w Berlinie pod tytułem: „Przyszła Polska jako droga do pokoju w Europie", przemawia za odbudowaniem Polski, jako jedynym środkiem ustalenia pokoju w Europie. Polska ta odbudować się ma ze zgodą Rosyi i na podstawie wyrzeczenia się Rusi i Litwy, a mianowicie Rusi, która z powodów religijnych i wyznaniowych ciąży i ciążyć musi do prawosławnej Rosji tak dalece, że nigdy, zdaniem autora, porozumienie Rusi, czy to prawosławnej czy unickiej, z Polską nie będzie możebnem.

„Granice nowej Polski byłyby następujące;

Zaczęłaby się od Przerowa północnego, wzdłuż rzeki Piany do Dymina, potem Pianą po jeziora, ztamtąd po pod Trentów stary i Szczecin do Odry, potem Odrą, następnie przecięłaby Odrę przy zetknięciu się z granicą Brandeburgii — niegdyś Braniborza; ztamtąd popod Starogród, Pyricę do Krzemienia nad Drawą, wpadającą do Noteci, Notecią do Warty, Wartą do wpadnięcia jej do Odry, Odrą do Żegania, ztamtąd prostą linią przez Rozborek do Szymberku i gór Krekonoskich. Potem do Bystrzycy, następnie przez Morawską Ostrawę, szlązką granicą po pod Mistek do Beskidu, potem teraźniejszymi granicami Galicji od Węgier — górami Karpackiemi do źródeł Oporu, wpadającego do Stryja, Stryjem do Dniestru, wodną linią do Buska i Brodów, ztamtąd teraźniejszą linią graniczną od Rosji aż do Kowna i Niemnem do Bałtyku. W ten sposób nowa Polska posiadałaby linię morską od północnej Przerowy aż do ujścia Niemna i miałaby zatem możność zbytu

swoich produktów we własnych portach, a dowóz do nich odbywałby się Wisłą i Sanem. W takim stanie, jak są dzisiaj trzy podziały, żaden nie posiada własnych centrów handlowych i dróg dowozowych wodnych. Przez Wisłę Prusacy zagrodzili drogę do morza Bałtyckiego, a w Galicji San, Wisła i Dniepr przecinają granice Rosji“.

Dla Polski tej liczy autor 23 milionów mieszkańców i nazywa ją państwem „małem, nie mogącem szkodzić nikomu“,

Ale jak dojść do takiej Polski? Autor apeluje o pomoc do Rosyi, która w zamian za wyrzeczenie się przez Polaków ziem ruskich i litewskich wydałaby wojnę Prusom pod pozorem gnębienia żywiołu słowiańskiego, sprowadziłaby je do rzędu małych państewek i odbudowałaby Polskę etnograficzną. Austrya mogłaby wedle autora być nagrodzoną za ustąpienie Galicyi jakimś nabytkiem na Bałkanach, coby jej wyszło na dobre, gdyż pozbyłaby się kraju, który ją ze względów strategicznych drogo kosztuje i stałaby się całością bardziej naturalną. Jak więc widzimy, cała operacya odbyłaby się głównie na skórze Prus, które autor nazywa „najbardziej zbójeckim państwem, jakie kiedykolwiek istniało“. Co do wyrzeczenia się przez nas Litwy i Rusi powiada autor, że najpierw: o unji krajów z Polską decydowała niegdyś szlachta, a lud nie ma obowiązku dotrzymywać takich umów, powtóre: Ruś zwłaszcza jest kulturalnie bliższa Rosyi, potrzecie: trzeba się zdecydować na taką operację tak, jak często decydujemy się na ucięcie ręki dla ocalenia całego organizmu.

Wszystko to są oczywiście fantazje i życzenia pobożne, na których urzeczywistnienie na razie nie zanosi się. Podobnie, jak autor, my wszyscy wierzymy głęboko, że ludzkość, doskonaląc się etycznie, prędzej czy później zastąpi przemoc sprawiedliwością i wtedy Polską, która zresztą ciąży ustawicznie nietylko na sumieniu, lecz na kieszeni mocarstw, zostanie odbudowaną. Lecz sprawy tej naprzód nie popchnie żadna broszura, dlatego też nie przywiązujemy wagi do projektu berlińskiego anonima.

Uderzającem w jego publikacyi jest co innego: oto, że władze pruskie pozwoliły ukazać się swobodnie broszurze, która jawnie nazywa Prusy „państwem zbójeckiem“ i podnosi myśl zniszczenia ich przez Rosyę. Ta tolerancja Prusaków jest tak dziwna, że mimowoli nasuwa się pytanie: czy właściwym twórcą tego projektu odbudowania Polski nie jest po prostu hakatyzm, poszukujący nowego pretekstu prześladowania Polaków, jako wrogów państwa? Moralność pruska na wszystko może się zdobyć.

Wnet po ukazaniu się powyższej broszury, wyszła druga. Oto niejaki Fritz Freiherr v. Guhlen, wydał świeżo broszurę pod napisem: *Sprengung des Dreibundes*.

W tej broszurze rozprawia o niezrównanej przebiegłości dyplomacyi rosyjskiej i że ta dyplomacya jest dla Niemiec daleko groźniejsza, niż armia rosyjska. Niedowierza także Austryi i nazywając ją przeniewierczą, doradza nie przedłużać przymierza. W razie wojny z Rosyę, na zaszachowanie tej Austryi, radzi ofiarować Węgrom niepodległość. A gdyby i to zbuntowanie Węgier przeciw Austryi nie skutkowało, radzi odbadować Polskę.

Pisze bowiem wyraźnie: „Gdyby środek tek zawiódł, jeszcze nie koniec z nami. Podział Polski uszczęśliwił nas podarkiem Danaów. Od stu lat Polacy są nam kulą u nogi. Czemuż nie mielibyśmy im dać terminatki pod warunkiem, że w interesie odbudowania samodzielnej Polski zwiążą się z nami przeciwko Rosyi? U Polaków, co prawda, tkwi we krwi nienawiść słowiańskiej rasy do Niemców; ale przypuszczać nie można, żeby nie mieli pójść na ten lep. Koszula polska bliższą okazałaby się ciału, jak surdut panslawistyczny.

A Rosya, postawiona wobec zbuntowanej Polski, przestałaby być wojowniczym czynnikiem dwuprzymierza, zwłaszcza gdyby równocześnie Turcya na naszą korzyść prawdopodobnie zrobiła demonstracyę. Stratę Poznańskiego tem łatwiej możnaby przeboleć, że odbudowanie Polski nie byłoby dla nas (Niemców) połączone ze szczególnemi niebezpieczeństwami. Polak po dziś dzień został Polakiem. Oddany sam sobie, natychmiast powróciłby do „polskiego gospodarstwa“. Pomagaliby mu w tem najgorliwiej nawet bracia, którym pod panowaniem pruskiem przyswojono pewne poczucie porządku. A gdy nam się zdawało, że nie możemy spokojnie przenieść [straty terytoryów i ludności, cóżby nam przeszkadzało po zwycięskiej wojnie odszkodować się w niemieckiej Austryi? Potrzebowalibyśmy tylko otworzyć ramiona, a tak nierozważnie przez dynastyę habsburgsko-lotaryngską zrażeni współplemiennicy nasi rzuciliby się nam na szyję gromadnie“.

Oczywista rzecz, że głos bar. Guhlena przebrzmi bez echa, że na jego radę żaden Niemiec się nie zgodzi. Gdyby takie rady mogły mieć przystep do umysłu niemieckiego i do rządu pruskiego, wówczas postępowanie rządu i społeczeństwa niemieckiego musiałoby się zmienić i z nienawistnie wrogiego stać się przynajmniej obojętnem. Ale o tem ani mowy być nie może.

Nam zdaje się, że powodem do napisania tej broszury był nietylko fakt niespożytej siły odpornej żywiołu polskiego, opierającego się o lud w zaborze pruskim, a więc zwątpienie w skute-

czność środków grębienia, ale i strach, że w razie wojny między Niemcami a Rosyą, Polacy zaboru pruskiego staną po stronie Rosyi.

Niema w tem nic nowego, bo cała przez Bismarka inaugurowana względem Polaków polityka eksterminacyjna, która i po jego śmierci statecznie się praktykuje, wynikła właśnie z tego strachu w zazie wojny z Rosyą. Fundusz 200 milionowy na wykupienie ziemi polskiej i wszystkie administracyjne środki germanizowania zmierzają do tego celu, aby żywioł polski wygubić pierwej, nim przyjdzie do rozprawy z Rosyą.

Sztuka kucharska w Polsce.

Gdy jeszcze przodkowie nasi żyli w stanie pierwotnej prostoty, pożywieniem ich był kawał ugotowanego lub upieczonego mięsa, ziarno z początku surowe, później prażone lub gotowane, na wzór znanej po dziś dzień kutji, mąka przyprażona i ukropem zlana, placki zwane podpłomykami i tym podobne inne, zdrowe choć niewybredne potrawy.

Dzisiejsze potrawy naszego ludu wiejskiego, barszcz, żur, polewka, kluski, pierogi, rozmaite kaszy, jarzyny, grzyby, pochodzą także z bardzo dawnych czasów; niegdyś nawet możny szlachcic poprzestał na nich, z tą tylko różnicą, że na stole jego skromne te potrawy bywały dobrze okraszone omastą, podczas gdy chłopek poprzestawał na postnych i że główną część obiadu szlachcica stanowiła zwierzyna, najczęściej własną ręką gospodarza ubita, chłopek zaś jadał mięso bardzo rzadko i to tylko w największe uroczystości.

Lud wiejski z dawnymi zwyczajami aż dotąd przechowywał potrawy, jakich przed wiekami używał, ale u wyższych stanów sztuka kucharska doskonaliła się, postępowała i w nie zbyt długim lat okresie doszła do wyższego stopnia.

Kucharz na dworze znakomitego pana w Polsce była to nie lada figura; miał patent napisany złotemi literami na pargaminie, wystawiony przez najsławniejszych mistrzów sztuki kucharskiej, ci zaś, dbając o swój honor, patentu takiego nie udzielali byle komu. Chcąc go uzyskać, trzeba było długie lata wycierać kąty po rozmaitych kuchniach, dla większego wydoskonalenia, odbywać podróże za granicę, a nareszcie kończyć edukacyę w kuchni królewskiej, a przynajmniej prymasowskiej. Wyzwoliny nakoniec poprze-

działa uczta, którą kandydat musiał sam zarządzić i przyrządzić, a do tej uczty zasiadali ci właśnie najbieglejsi kuchmistrze, co mieli wydać wyrok i wystawić patent.

Wielcy panowie rokrocznie ogromne sumy wydawali na kuchnie. Do przyprawiania potraw, prócz miodu, maku, octów, soków i ziół przeróżnych krajowych i zagranicznych, używano z wielkiem upodobaniem korzeni i to w takiej wielkiej ilości, że nie jeden ze znamienitych dworów zakupywał je naraz za kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Prócz tego woda różana, złoto malarskie, piżmo, niezbędnym były artykułem. W aptekach sprzedawano różne drogie olejki i esencye, w domu przysposabiano rozliczne ekstrakty i buliony. Szpiżarnie bywały bardzo obficie zaopatrzone, i to, co się tam zwykle znajdowało, z łatwością mogło było na rok cały dla kilku rodzin wystarczyć.

Wspomnimy tutaj niektóre potrawy, używane w dawnych wiekach przez stany średnie i wyższe. Wiele z tych potraw, a mianowicie krajowych i tylko wydoskonalonych, przechowało się aż do naszych czasów, niektóre widujemy na naszych stołach pod innem nazwiskiem, inne wreszcie zaginęły.

Barszcz burakowy z rurą, postny lub zabielany, kapuśniak, krupnik z perłowemi krupami, rosół, zupa grochowa i szczawiowa, chołodziec litewski, zupy z piwa, z owoców, z pomidorów były w Polsce od wieków powszechne. Z tych barszcz, równie jak i dziś najbardziej bywał ulubionym. Dobrze przyprawiony zwano k r ó l e w s k i m, która to nazwa przechowała się dotąd. Robiono także zupy z krwi gęsiej, wieprzowej, z jarzyn, buliony zaś z Francyi przeniesione, dopiero później nastały.

Po zupie dawano zwykle kiełbasę, potem różne mięsne potrawy, a najprzód sztukę mięsa, wołową u uboższych, z bawołu, tura, żubra, łosia, u panów. Z mięsnych potraw wiele zaginęło już bez śladu, a między temi gęś w czarnej jusze, do której sos robiono ze słomy palonej. Frykasy, pulardy, pasztety, przybyły do nas z zagranicy. Pasztety ubierano figurami przedstawiającemi zwierzęta, z których były robione, a figury te były złożone, lub też własnemi piórami, albo sierścią odziane i wyglądały jak żywe.

Pieczyste przyrządzano z grubego zwierza, jakiego już wcale nie mamy, z ptactwa domowego i dzikiego. Skowronki były także jadane. Za przysmak poczytywano łapy niedźwiedzie i chrapy łosie, a skopowina nie śmiała pokazać się na znamienitszym stole. Do pieczystego dawano k o n d y m e n t y czyli sosy, a bywały one przeróżnego smaku i koloru, jedne lepsze od drugich.

W dnie postne głównym daniem były ryby. Dla smaku gotowano je w winie, a że przodkowie nasi byli bardzo skrupulatni

w zachowywaniu postów, nie przyprawiano ich z masłem, lecz z oliwą lub olejem; pomimo to jednak przyznawali cudzoziemcy, że w żadnym kraju nie umiano tak smacznie ryb przyrządzać jak w Polsce. Było kilku panów, co w pewnych razach, nie spuszczając się na kucharzy, sami gotowali ryby w srebrnych rądelkach.

Aby mieć zapas ryb na każde zawołanie, bywały po dworach dobrze urządzone sadzawki, osobne na szczupaki, osobne na karpie. Te ostatnie przyuczano przybiegać do brzegu na odgłos dzwonka i karmiono z upodobaniem. Lubiono także i karmiono raki. Bobry do ryb liczono i w dnie postne robiono z nich kiełbaski i potrawki. Plusk, czyli ogon bobra, najbardziej był ceniony.

Wysoko postąpiła także u nas sztuka przyrządzania rozmaitych legumin, zacząwszy od pospolitych kaszy ze Szwedami aż do najwyszukańszych antypacików. Do pospolitszych należały śliwki, kluseczki makiem zatarte, kołduny litewskie, makarony polskie i włoskie, pempuchy czyli pączki; więcej delikatne były andruty, płaskury czyli opłatki, bliny robione z mąki lub prosa.

Jarzyny i ogrodowiny dziś używane, znane już były w Polsce, za Zygmunta III. Marchew zwano naówczas karotą, rzepę kolmikiem lub bytomką, kapustę ogrodową brzoskwią, a groch włoski cieciorką Najpóźniej przybyły do nas ziemniaki, za to upowszechniły się bardzo prędko i w krótkim czasie stały się głównym kmiotka pokarmem. Sprowadzili je do Polski koloniści sascy, których August III osadzał w dobrach królewskich. Polacy z początku brzydzili się ziemniakami i uważali je za szkodliwe zdrowiu, ale w końcu panowania tego króla, były już dobrze znane we wszystkich prowincyach, a wkrótce i wódkę zaczęto z nich wyrabiać. Jaja stanowiły zawsze jeden z najważniejszych artykułów w sztuce kucharskiej, a używane były nietylko jaja zwykłego drobiu, ale także pawie i łabędzie, rozumie się na pańskich stołach. Potrawy z jaj miały rozmaite, dziś już nieznane nazwiska, jako to: fryty, pertuty, tretowany arumszmalc, szarpanina, omlet itd.

Z użyciem mleka robiono przesławne melchmusy, rosiaty, arkaty, bianki. Za największy przysmak i arcydzieło sztuki kucharskiej uchodziła bianka z mleka słodkiego, migdałów, cukru, rosołu, opiekana w formach z wodą różaną i innemi pachnidłami, tudzież z marcypanem. Co dziwniejsza, wchodziły do niej także i wędzone ozory. Potrawę tę dawano na stołach królewskich; za Zygmunta III tylko 3 razy podczas największych uroczystości.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.